

Kształcenie uczuć społecznych młodzieży.

Zmaterjalizowanie i skrajny egoizm — to główne symptomy choroby moralnej, która jak czerw stoczyła nam rdzeń naszej kultury. Odrodzenie dokonać się może tylko na podstawie długotrwałej i w głąb sięgającej akcji wychowawczej nad niezepsutą jeszcze doszczętnie młodzieżą.

Punktem wyjścia przy wychowaniu musi być wzgląd na istotne cechy natury ludzkiej, któremi są: zmysły, rozum, wolna wola, religijność i zdolność do życia społecznego. Harmonijne kształcenie wszystkich tych cech człowieczeństwa gwarantuje odrodzenie świata. Dziś w szkole kładzie się główny nacisk na stronę fizyczną wychowanka; urabianie woli, charakteru, instynktu społecznego pozostawia się na dalszym planie, a religii nie przyznaje się decydującego znaczenia wychowawczego. Stosowanie takiej „pedagogiki“ nie podniosłoby nigdy naszej kultury z jej katastrofalnego obecnie upadku.

Wobec coraz częściej odzywających się w naszych czasach haseł rewolucyjnych i antyspołecznych prądów — wobec wybujałego subiektywizmu i tendencji do łamania prawa nasuwa się dziś bardziej niż kiedykolwiek dawniej potrzeba urabiania uczuć socjalnych młodzieży. Kształcenie takie nie natrafia na zbyt wielkie trudności, bo każdy człowiek już rodzi się ze skłonnościami do życia w społeczeństwie. Dziecko od najmłodszych lat szuka zabawy i towarzystwa. Z biegiem czasu młodzieniec nawiązuje jeszcze ściślejszy i bardziej celowy kontakt ze swymi rówieśnikami. Towarzystwo jest wogóle charakterystyczną cechą młodzieży dorastającej i stanowi ważny atut dla inteligentnego i świadomego swych celów wychowawcy. Gdy nie pokieruje nią należycie wytrawy pedagog, to ulegnie zwyrodnieniu i pójdzie na służbę zła. Młodzież, pozostawiona samej sobie, organizuje się i sprzysięga przeciw rodzicom, szkole i temu wszystkiemu, co krępuje jej wolność.

Przyjaźń młodocianego wieku jest bardzo żywą i skłoną do poświęceń. Chłopiec gotów jest dla swego przyjaciela uczynić wszystko i nie cofnie się nawet przed kłamstwem czy oszustwem, jeśli chodzi o ochronę wybrańca serca przed karą np. ze strony rodziców czy szkoły. Dziewczęta są w przyjaźni bardzo tkliwe. Każda z nich musi mieć powiernicę swjej duszy i najskrytszych tajemnic. Pomimo zmienności zapatrywań w wieku dziecięcym czy nawet w okresie dojrzewania, przyjaźń w tym czasie zawarta trwa stale przez całe życie i bywa w wieku starszym źródłem miłych wspomnień. Szczęśliwy ten nauczyciel, który postępowaniem swem potrafił zaskarbić i zjednać sobie wszystkie wrażliwe i czułe na objawy miłości serca dziecięce, bo będzie on mógł nimi już odtąd władać i zaprowadzić je, dokąd tylko zechce.

Jeżeli przyjaźń połączy jednostki zdrowe moralnie, to zachęcają się one wzajemnie do dobrego i pomagają sobie w dążeniu do ideału. Wiele

dowodów na to dają nam żywoty świętych. Gdy jednak źli złączą się uczuciem przyjaźni, to w swojej złości i przewrotności wzrastają. Źle jest także, gdy przyjaźń młodzieży jest zbyt wyłączną i jednostronną, ponieważ w takich wypadkach staje się ona pretekstem nieraz pożałowania godnych wybryków albo nawet prowadzi do homoseksualizmu. Kierownicy internatów tak męskich jak i żeńskich mogliby dużo na ten temat powiedzieć. Zboczenia te mają zwłaszcza miejsce tam, gdzie wychowanie religijne nie stoi na właściwym poziomie. Nowoczesna pedagogja nie zwraca zbyt uwagi na podobne anomalje. Niektórzy uważają homoseksualizm nawet za usprawiedliwiony biologicznie. Wychowawca katolicki wie, jak podobne zapatrywania są nierozumne i zgubne i dlatego będzie się starał wszelką podejrzaną przyjaźń między młodymi tej samej płci rozzerwać. Środki i sposoby postępowania z młodzieżą, zdradzającą skłonność do takiej przyjaźni, podaje Mendouse w swem dziele p. t.: „L'âme de l'adolescent“.

Kontrolowanie przyjaźni, jaką młodzież zawiera między sobą, wymaga ze strony nauczyciela wiele taktu i roztropności, gdyż nieudolna próba zerwania przyjaźni, zwłaszcza grzesznej, tę jeszcze bardziej wzmacnia i potęguje. Młodzi uważają przyjaźń za teren, na który „obcym wstęp wzbroniony“.

Koleżeństwa i przyjaźń, zawierane przez młodzież starszą, w wieku dojrzewania, opierają się już na wyższych instynktach socjalnych. Wprawdzie i wtedy jeszcze brak młodzieży miary w ocenianiu siebie i wartości towarzysstwa, ale już krystalizuje się w niej zdolność do życia czynnego w społeczeństwie, więc z obawy, by nie załamała się w niej osobowość, nie powinien wychowawca zbyt krępować jej wolności. Młodość ma swoje prawa, więc też i na jej wybryki trzeba nieraz patrzeć pobłażliwie. Dobry i cierpliwy pedagog potrafi pogodzić wymogi osobowości młodzieży dojrzewającej z potrzebami realnego życia socjalnego; on będzie miał w pierwszym rzędzie na oku istotnie dobro dusz wychowanków i wielką dla nich wyrozumiałość.

Kształcenie ducha społecznego młodzieży musi uwzględniać różnice płciowe; inne bowiem zadania ma do spełnienia chłopiec a inne dziewczyna.

Fundamentem wychowania społecznego będzie zaprawianie młodzieży do następujących cnót: trzymanie na wodzy swej woli, darowanie win drugich, pokojowe usposobienie wobec bliźniego, cierpliwość w znoszeniu cudzych przywar i niedoskonałości, uprzejmość, wielkoduszność, nie naruszanie cudzych praw, poczucie odpowiedzialności za swe czyny i skłonność do poświęceń na rzecz dobra ogółu. Warunkiem kształcenia uczuć socjalnych jest także pouczanie wychowanków o konieczności wczuwania się w myśli, słowa i postępowanie bliźnich; nie wolno wynosić się nad innych, gardzić stanami niższemi. Dobra lektura z dziedziny socjologii i przykład wychowawcy uzupełni resztę.

Należy także dawać młodzieży często sposobność do praktykowania cnót obywatelskich czyli miłości bliźniego. Można zachęcać całą klasę do

przyjścia z pomocą ubogiemu i nieszczęśliwemu koledze, tworzyć stowarzyszenia o charakterze charytatywnym, misyjnym i t. p. Stowarzyszenia wszelkie, nawet i sportowe są znakomitą szkołą życia towarzyskiego i ducha społecznego.

Wychowanie społeczne w związkach i stowarzyszeniach partyjno-politycznych młodzieży jest jednostronne; ono ma na celu tylko walkę partyjną a nie dobro całego narodu.

Urobienie ducha społecznego stanowi podstawę wychowania państwowego. Już i dawniejsza pedagogika dążyła do wykształcenia dzielnych obywateli państwa. Kształcenie to jednak głównie polegało tylko na podaniu młodzieży szkolnej pewnych wiadomości o państwie. Oczywiście, że jest to konieczne, ale o wiele ważniejszą jest rzeczą zaprawić wychowanka do państwowego myślenia i działania. Według najnowszej pedagogiki do tego celu mają służyć minjatury państwa, urządzone przez uczniów w klasach szkolnych (cf. Förster, Staatsbürgerliche Erziehung). Jest rzeczą godną uwagi, jeżeli się młodzieży zaleca tworzenie państw szkolnych, aby w nich jakby na modelach uczyła się życia państwowego. Dzieje się to głównie w Ameryce. Także u nas wprowadzono w wielu szkołach średnich i powszechnych gminy czyli jakby państwa szkolne, któremi sama młodzież kieruje. Różne są zdania co do ich celowości i wartości pedagogicznej. Jedni są ich zwolennikami, jak np. Kerschensteiner a inni bezwzględni przeciwnikami. Oczywiście samorząd uczniów jest pewną formą państwowego kształcenia, ale nie jedyną i nie najważniejszą. Interesująco mówi o tem Förster w swem dziele p. t. „Politische Ethik und Politische Pädagogik“. Kształcenie poczucia odpowiedzialności za swe czyny jest dla niego racją, dla której samorządowi uczniów w szkole przyznaje dużą wartość społeczno-wychowawczą. Niema bowiem skuteczniejszego środka, by wychować młodzież do współpracy w państwie konstytucyjnym, jak ten, gdy się ją od najmwcześniejszych lat przyzwyczajają do sumiennego wypełniania urzędów, nadanych jej w drodze zaufania, — do posłuszeństwa wobec wybranych przez nią samą władz i do samodzielnego przeprowadzania rozlicznych spraw. Ale wychowanie takie przyniesie rezultaty pożądane tylko wtedy, gdy się opiera na głębokiej etyce i wyływającej z niej gotowości do poświęcenia się dobru ogólnemu.

Inni znawcy stosunków dopatrują się w samorządach szkolnych wprost niebezpieczeństwa dla wychowania państwowego. Wilhelm Mann w książce p. t. „Schulstaat und Selbstregierung der Schüler“ wykazuje, że kopjowanie urządzeń państwowych w szkole jest tylko pomniejszaniem godności i powagi państwa przez uczniów.

Jeśli samorząd szkolny uczniów ma się istotnie przyczynić do państwowego wychowania, to musi się on praktykować w ramach bardzo solidnych. Jego celem musi być kompleks wszystkich cnót obywatelskich. Trzeba także dawać młodzieży należyte pojęcie państwa, którego z samą

tylko władzą nie można identyfikować. Nie można także państwa uważać za najwyższy cel wychowania, jak tego chciał w swej książce „O najwyższy ideał wychowawczy“ były nasz minister oświaty Czerwiński, obok którego to ideału wszystkie inne cele mają tylko drugorzędną wartość. Błędem jest narzucanie młodzieży poglądów, dla których zrozumienia brak jej jeszcze fundamentów.

Należy szczerze uznać wszelkie środki, wiodące do należytego wychowania państwowego, ale dlaczego przeocza się tak bliski i tak skuteczny środek, jakim jest religja? Dekalog wraz z nauką Zbawiciela: „Oddajcie, co jest cesarskiego cesarzowi“ zabezpiecza najlepiej wychowanie państwowe. Duch prawdziwie chrześcijański nie wkroczy nigdy w prawa drugich: on pobudza do samozaparcia się i wykonywania nakazów społecznych z miłości i poczucia odpowiedzialności wobec Najwyższego Sędziego a nie tylko z obawy przed policją i kryminałem. Motywy religijne najlepiej gwarantują uczciwość obywatela państwa. Wychowanie państwowe, które motywy te ignoruje i lekceważy, buduje dom na lotnym piasku; budowa taka rozpadnie się przy pierwszej burzy... Wychowanie bezreligijne jest i ze stanowiska państwowego czemś absolutnie złem.

Na zakończenie jeszcze parę słów o tem, czy jest wskazaną rzeczą wtajemniczać młodzież w arkana życia politycznego? Wobec faktu, że większość państw europejskich przyznaje wszystkim swym obywatelom już po 20 roku życia prawo wyborcze czynne a po 24 bierne, jasną jest rzeczą, że młodzież dorastającą trzeba uświadamiać politycznie. Należy jednak to czynić z wielką oględnością i w najogólniejszych tylko zarysach. Tem politycznem przysposobieniem młodzieży mają w ogólności kierować te same czynniki, które mają sprawę wychowania w swych rękach, t. j. rodzice, szkoła i związki młodzieży. Wreszcie czytanie odpowiednich książek i dzienników pod kierownictwem starszych może się znakomicie przyczynić do zaszczerpienia głęboko w duszach młodzieży potrzeby uczciwości życia politycznego.

X. Antoni Lorens.

Cywilizacja świata wymaga leczenia.

Świat dzisiejszy szczyli się swoją wysoką kulturą i cywilizacją. Ludzie piszą i czytają ogromne ilości pism i książek, uczą się w szkołach, których jest coraz więcej, słuchają przez radjo odczytów, muzyki i śpiewów, jeżdżą na dalekie wycieczki po kraju i zagranicą. — Istnieją tak wspaniałe warunki dalszego rozwoju cywilizacji ludzkiej, jakich nie było od początku świata. A jednak źle nam jest i możemy łatwo stwierdzić, że cywilizacja ogółu ludzkości cofa się, i ludzie coraz częściej stają się podobni do dzikich plemion afrykańskich. Oczywiście, że techniką i kul-

tura materialną stoimy bardzo wysoko, przewyższamy ich nieskończenie, ale kulturą duchową nie zawsze możemy się z nimi nawet zrównać. Uczciwość ludzi kulturalnych coraz częściej staje się podobna do uczciwości ludzi dzikich, a nieraz o wiele gorsza. Czyż nie straszne jest słyszane nieraz powiedzenie: Uczciwy bo głupi? Uczciwy człowiek jest największym mędrce, a wśród nas spotykają się ludzie, którzy to śmiało nazywać głupstwem.

Przyzwyczailiśmy się do twierdzenia, że dzicy nie dotrzymują zobowiązań, a czyż u nas dotrzymuje się dziś zobowiązań? Zanikło dziś zaufanie, bo słowo ma coraz mniejszą wartość, bo ludzie nie oddają pożyczek, nie spełniają przyrzeczeń, ani traktatów. Po wojnie światowej spisano w Lidze Narodów około trzy i pół tysiąca traktatów, a ile z nich było zachowanych sumiennie choćby przez miesiąc? Zdaje się, że nawet nie naliczylibyśmy takich traktatów pół tysiąca, a większość tych traktatów była szanowana przez kilka lub kilkanaście dni... Czyż to ma świadczyć o wysokiej cywilizacji współczesnej ludzkości?

Niedawno przechodziliśmy najstraszniejszą rzeź świata. Jeszcze nasze miasteczka nie zostały odbudowane, jeszcze po łąkach i lasach można spotykać ślady okopów i pocisków armatnich, jeszcze znajdują się w ziemi niewybuchnięte pociski, a już ludzkość przygotowuje się do nowej rzezi. Pracują gorączkowo, a wielu polityków i pisarzy głosi, że wojna przyszła wybuchnie bez uprzedniego zrywania traktatów i bez wypowiedzenia.

Gdy się człowiek nad tem spokojnie zastanowi — to musi dojść do przekonania, że cywilizacja nasza zaczyna się cofać, ludzie tracą poczucie honoru i godności ludzkiej.

Jedną z główniejszych cech dzikości jest przecenianie siły fizycznej, a poniżanie dobroci i wartości duchowych. A właśnie żyjemy dziś w okresie uwielbiania siły fizycznej. Obecnie dobry rozbijacz szczęk ludzkich zarabia więcej, niż kilkunastu profesorów uniwersytetu.

Byli „filozofowie“, którzy tłumaczyli ludziom, że ten jest mądry, kto ma siłę i dziś tacy filozofowie u wielu narodów zdobywają sobie szacunek. Siła jest przed prawem — rozlega się coraz głośniejsz po świecie.

Spółczeństwo cywilizowane cechuje uporządkowana obyczajność, a dziś wielu ludzi dąży do tego, aby ta obyczajność była jaknajbliższa zwierzęcej, chcą znieść małżeństwa, a wprowadzić rejestrowane konkubiny. Coraz mniej szanuje się matkę licznej rodziny, a za to uwielbia się tancerki kabaretowe. Zaprowadza się poradnie specjalne, aby kobiety sprowadzić do roli tancerki i zabawki.

Wogóle z kobietą dzisiejszą wyrabia się dziwactwa i wmawia się w nią, że to jest postęp, który da jej szczęście. Dąży się do tego, aby nie było matron ofiarnych, poświęcających się dla rodziny i Ojczyzny, lecz żeby były dobre bokserki, rekordzistki, tancerki i t. p. Głosi się, że kobieta ma być równouprawniona, a tymczasem odbiera się jej prawo

do życia swoim życiem i każe się jej być podobną do mężczyzny lub zabawką mężczyzny.

Literatura i prasa jest wyrazem cywilizacji danego narodu. Jeśli będziemy przeglądać najpoczytniejsze gazety — to stwierdzimy ze smutkiem, że znalazło się tam miejsce dla zabaw, dla mody, dla kabaretu, dla zbrodni, trochę dla gospodarki i ciekawostek, ale jaknajmniej poświęca się miejsca życiu uczciwemu i temu, co do niego prowadzi.

Jeżeli przejrzymy literaturę pisaną nawet przez czołowych pisarzy, to przekonamy się, że większość tych najzdolniejszych ludzi również nie najwyżej stoi pod względem cywilizacji, bo oto jeden z nich opisuje tylko życie uliczne, tak jakby na świecie innych kobiet nie było, (a może on nie umie o czym innym myśleć), inny znów zachwala gwałty, inny szerzy nienawiść. Zresztą ogół społeczeństwa naszego moralnie napewno wyżej stoi od wielu z tych powieści.

Ale chyba największym skandalem dzisiejszych czasów jest niesprawiedliwość społeczna, która doprowadziła do tego, że garstka ludzi na świecie opływa w dostatki, a masy cierpią nędzę niegodną człowieka, jak to wyraził Ojciec św. w encyklice „O odnowieniu ustroju społecznego“. Ziemia daje wszystkiego wbród lecz chciwość wolnomyślnego kapitalizmu w ten sposób gospodaruje majątkami, że nędza zajrzała do milionów istnień ludzkich. Maszyny — ten owoc umysłu ludzkiego — zbyt często obracają się przeciw wielu ludziom i pomagają wyzyskiwaczom.

Nawyliczaliśmy tu tyle chorób współczesnej kultury, że po rozważeniu tego wszystkiego smutno się robi człowiekowi i troska głęboka musi się zakraść do duszy. Nasuwa się też pytanie czy my nie zostaniemy kiedyś dzikusami?

Ale nie koniec tych wynaturzeń kultury dzisiejszej, bo oto część ludzi wystąpiła otwarcie przeciwko wszystkiemu, co szlachetne, co wzięte, co wielkie, co idealne.

Uosobieniem wszystkich najszlachetniejszych myśli, dążeń i czynów jest Bóg.

On jest miłością, On jest Prawdą i Życiem. I oto część ludzi podniosła otwarty bunt przeciw Niemu. Oto w Rosji wołają: Precz z miłością — nam trzeba nienawidzić! A inni im wtórują: „My sami jesteśmy bogiem!“ Za temi wołaniami idą czyny i życie u tych bezbożników staje się coraz bardziej zwierzęce.

Na takie bezdroża schodzi dzisiejsza kultura.

Gdy przypatrzymy się tym wszystkim objawom zdziczenia — to zauważymy wśród nich jeden wspólny objaw: Oto ci wszyscy dziczejący ludzie — to są ludzie niewierzący w Boga — to są ludzie, którzy śmieją się z Bożych przykazań i nie zachowują ich.

Może ktoś chciałby mi na to wskazać jakiegoś człowieka, który nie wierzy, a jest człowiekiem wysokiej kultury i dobrym. Tak, są i tacy, bo

jak kulturę zdobywa się powoli, tak również powoli się ją traci. Jednak ci wszyscy zabijający bez sądów w Rosji czy gdzieindziej, to nie są ludzie żyjący z wiary. Te dzieci — włóczęgi w Rosji, z którymi nawet wojsko nie może sobie poradzić — są dziećmi wychowanymi bez Boga. Najwięksi przedstawiciele wielkiego kapitału, to także ludzie bezbożni. Ci wszyscy zamieniacze żon, złodzieje grosza publicznego, wyzyskiwacze i oszuści — to nie są ludzie, którzy żyją z wiary i którzy zachowują Boże przykazania.

Jeżeli więc wszyscy krzywdziciele ludzkości i wszyscy demoralizatorzy łamią Boże prawo i przez to krzywdzą innych — to cóż mają robić ci ludzie, którzy pragną na świecie uczciwości, którzy nie chcą aby świat dziczał i aby się krzywdy mnożyły?

Oto jest jedno lekarstwo: Trzeba dążyć do wykonywania prawa Bożego! Trzeba to prawo wykonywać w domu i na ulicy, w rodzinie i w państwie, w fabryce i w sklepie i wszędzie. Tylko to może uratować ludzkość od zdziczenia.

Jasnym jest dla każdego myślącego człowieka, że tylko wprowadzenie Bożego prawa może uratować świat, ale pozostaje jeszcze pytanie, jak to prawo Boże tłumaczyć, bo różni ludzie różnie je wykładają.

Jest w Europie państewko najsłabsze pod względem siły wojskowej, ale najsilniejsze pod względem siły moralnej. W państwie tem nagromadziły się bezcenne dzieła kultury i sztuki, ale koncentruje się tam wszystko, co najszlachetniejsze i najwznioślejsze. Państewkiem tem to Watykan. Władca tego państewka stoi na straży kultury ludzkości. — A jest to władca osobliwy. Choć na Stolicy Piotrowej zasiadało przez 1900 lat blisko 3 setki papieży, jednak żaden nie wydał błędnego orzeczenia względem wiary i moralności.

W Watykanie znajduje się ten, który będzie kierował walką o odrodzenie moralne ludzkości i o uleczenie naszej kultury. Zdaje się, że po części doceniają wielką rolę papieża różne państwa, bo nawet rząd niemiecki nie chce zerwać stosunków z Ojcem św. Utrzymują też tam swoich ambasadorów nawet takie państwa jak protenstancka Anglja i liberalno-masońska Francja.

Toteż dziękujmy Bogu, że większość obywateli Polski słucha przemądrych wskazań papieża i idźmy za Jego wskazówkami — idźmy w bój o najwyższe wartości ludzkie, idźmy do pracy nad odrodzeniem kultury!

Józef Sieńko porucznik W. P.

Konieczność celowej obrony przed atakami bezbożnictwa.

W numerze „Przeglądu Powszechnego“ (lipiec-sierpień) w artykule p. t. „My a bezbożnicy“ ks. Jan Urban T. J. omawia metody, jakimi

bezbożnicy i wolnomyśliciele w Polsce posługują się w walce z religią. Stwierdziwszy istnienie w naszym kraju dwu odmian ateizmu: zamaskowanego, nacjonalistycznego (w rodzaju hitlerowskiego), który nie zdążył się jeszcze rozwinąć ani zorganizować, i ateizmu, jaki szerzy się po świecie pod egidą rosyjskiego komunizmu, autor artykułu uwagi swoje poświęca wyłącznie bezbożnictwu typu bolszewickiego.

Bojową organizacją ateistyczną jest w Polsce „Związek Wolnej Myśli“ mający swą siedzibę w Warszawie, a zorganizowane koła w Poznaniu i w kilku innych miastach. Zależna od niego „Wolność“, spółka z o. o., wydaje czasopisma bezbożnicze: „Wolnomyśliciel Polski“ i „Błyski Wolnomyślicielskie“. Pisma te pod względem nienawiści do religii nie ustępują moskiewskiemu „Bezbożnikowi“, a nie przyjęły dotąd tej nazwy, gdyż zawczasie jeszcze byłoby ryzykować popisywanie się bezbożnictwem w samym tytule pisma. Szczególnie jaskrawe formy przybiera ta nienawiść w odniesieniu do duchowieństwa katolickiego. Ks. Urban daje próbki języka polemik i artykułów wolnomyślicielskich, świadczące o poziomie intelektualnym i moralnym oraz o kulturze polskich ateuszów.

Wolnomyśliciele nasi lubią podawać się za wzory wyższej moralności a już ze szczególnem zamiłowaniem biorą na siebie rolę pionierów prawdziwej kultury.

Z największą zajadłością bezbożnictwo wolnomyślicieli polskich występuje wtedy, kiedy zwalcza religię jako rzekomą służebnicę i sojuzniczkę kapitalizmu, a „kiedy słyszy o potępieniach nadużyć kapitalizmu przez Kościół, albo o społecznej polityce Kościoła na rzecz klasy robotniczej, dopatruje się w tem tylko chytrego podstępu, którym religja usiłuje zdobyć zaufanie wyzyskiwanych, by ich tem łatwiej rzucić na pastwę wyzyskiwaczom. Stąd wprost wściekłość ogarnia naszych bezbożników, gdy się dowiadują o pracy Kościoła na polu organizacyj zawodowych, a nawet na polu dobroczynności, stąd przedstawienie takiej pracy, jako środka usidlania ludzi przez religję w celu nowego wyzysku.

Przedstawiwszy cele rodzinnego ateizmu wojującego i środki, jakimi posługują się nasi bezbożnicy w dążeniu do nich, autor stawia pytanie, jaką winna być obrona z naszej strony. Wszelka wymiana myśli z wolnomyślicielami jest bezcelowa, ponieważ bezbożnicy nie chcą zasadniczych rozmów o religji, o istnieniu Boga itd. Wobec tego, stwierdza autor — „musimy myśleć tylko o otwieraniu oczu bałamuconym przez nich ludziom, umacniając ich wiarę i ukazując złośliwość, kłamliwość i obiektywną nicość przytaczanych przez bezbożniczych pisarzy oskarżeń i argumentów“.

W tym celu autor uważa za konieczne: przystosować w stopniu większym niż dotychczas nauczanie religijne do obecnych potrzeb walki z bezbożnictwem; w nauczaniu tem wystrzegać się wszystkiego, co ateuszom mogłoby dać jakąś podstawę do ośmieszania religji, i troszczyć

się o to, by „wogóle religja nasza, zwłaszcza religja prostego ludu, była pogłębiona i podniesiona na wyższy poziom rozumienia stosunku człowieka do Stwórcy“.

„Pozostaje jeszcze pytanie: czy walczyć z propagandą bezbożnictwa drogą represyj prawnych. Jak dotąd, bezbożnicy w Polsce nie mogą narzekać, że katolicy zbyt często uciekają się pod opiekę prawa. Wprawdzie pisma wolnomyślicielskie od czasu do czasu świecą jakąś białą plamą, co dowodzi, iż cenzura państwowa uznaje pewne ich występy za wyraźnie sprzeczne z kodeksem karnym. Ale ile w tem, co zostało wydrukowane przeciwko religji, znalazłoby się jeszcze rzeczy kolidujących z duchem i literą ustawy! Trudno naprz. zrozumieć jak może uchodzić bezkarnie ośmieszanie wiary w Boga wogóle, traktowanie wierzących, dlatego, że są wierzącymi, jako głupców, ludzi niedorozwiniętych umysłowo, skoro celem odnośnego rozdziału ustawy karnej jest przecież obrona swobodnego wyznawania przekonań religijnych i obywateli je wyznających. Czyż dopuszczalnem jest rzucanie obelg na tyłu obywateli, którzy korzystają ze swego prawa być ludźmi religijnymi? A ośmieszenie dogmatów, najdroższych dla religijnego uczucia katolików, jak naprz. dogmatu Eucharystji, co jest jednak na porządku dziennym w prasie wolnomyślicielskiej? Wreszcie szczucie na całą klasę obywateli, jakimi są księża, na zawód przez państwo uznany i szanowany, traktowanie tego zawodu jako świadome oszustwo, zarzucanie mu pogłównego zepsucia i łotrowstwa, czyż nie jest karygodne ze stanowiska dbałości o porządek publiczny i zgodę obywatelską? A szkalowanie i obrzucanie błotem głowy Kościoła, papieża, z którym państwo przecież utrzymuje oficjalne stosunki, narówni z rządami mocarstw politycznych“. Jeżeli zatem ateuszom w Polsce tyle uchodzi bezkarnie, to zaiste nie mają powodu do narzekania ani na nietolerancję polską, ani na fanatyzm wierzących. Dowodzi to wszystko raczej czegoś przeciwnego, mianowicie, że cenzura, policja i sądownictwo polskie posuwają się do najdalszych granic tolerancji względem bezbożnictwa, że niebezpieczeństwa tej propagandy nie doceniają, a przedstawiciele Kościoła — kler — albo nie są poinformowani o zasięgu i sposobach walki z religją, albo tę walkę sobie zbyt lekceważą. Uważaliśmy tedy za potrzebne ustanowienie ze strony katolickiej jakiejś specjalnej centrali, która pilnie śledziła akcję bezbożniczą i kierowała prawną obroną religji i Kościoła.

Obok wzmoczenia prawnej obrony Kościoła i udoskonalenia nauczania religji i apologetyki za najważniejszą broń przeciwko niewierze autor uważa „świętość życia kapłanów, ich bezinteresowność, wreszcie ich poświęcenie w pracy nietylko dla duchowego, ale i materialnego dobra wierzących“.

Dzieje łaskami słynącej Figury Chrystusa Ukrzyżowanego czczonej w Klimkówce w Kościółku (Kaplicy) św. Krzyża pod lasem.

*Gdzie szukać siły i pociechy w obecnem naszym ciężkiem położeniu pod względem moralnym i gospodarczym?
Będziecie czerpać z radością wody ze źródeł Zbawicielowych.*

(Izajasz XII.)

Jest w naszej drodze Ojczyźnie wiele kościołów cudami słynących, do których czciciele Matki Najśw. „Pocieszycielki utrapionych“ spieszą i znajdują tam pokrzepienie i pomoc potrzebną do walki z różnemi przeciwnościami (nieodłącznemi naszymi towarzyszami życia doczesnego). Na tych to miejscach rozwija się i kwitnie z wielkim pożytkiem dla wiernych cześć Królowej nieba i ziemi.

Natomiast mało jest u nas kościołów wstawionych kultem Chrystusa Ukrzyżowanego — a i te, które mamy, mało są znane szerszym warstwom naszego Katolickiego społeczeństwa.

Jednym z tych jest kaplica św. Krzyża w Klimkówce, diecezji przemyskiej, na Podkarpaciu we wschodniej Małopolsce, pomiędzy Zdrojowiskami Rymanowem i Iwoniczem.

W tej to Kaplicy w ołtarzu wystawiony jest ku publicznej czci Wizerunek starożytny Chrystusa Ukrzyżowanego słynący łaskami od pierwszej połowy XIV w. z czasów jeszcze piastowskich — wysokości 1 m., wykonany z drzewa artystycznie przez nieznanego nazwiska rzeźbiarza, powleczony farbą naśladowującą barwę żywego ciała ludzkiego.

We Figurze tej przedstawiony jest Chrystus P. cierpiący w ostatniej chwili swego życia. Oczy Jego pełne łez zwrócone ku niebu, usta nieco rozchylone, język drżący dotykający górnej wargi — zdaje nam się, że do naszych uszu dolatują słowa ze Serca Jezusowego pełnego miłości Boga i ludzi. „Pragnę“ chwały Bożej i zbawienia dusz“.

Gdy całe ciało zroszone kroplami krwi — w boku nie widzimy rany otwartej. — Tuż u stóp Krzyża widzimy 2 figurki przedstawiające Matkę Boską Bolesną i umiłowanego ucznia P. Jezusa św. Jana, ofiarowane przez żonę Pawła Kielara.

Według zapisków kronikarskich, podanych przez ks. Bronisława Stasickiego, proboszcza w Klimkówce od roku 1868—1874 dla wyżej opisanej Figury Chrystusa Ukrzyżowanego, wybudowali tutejsi wierni kapliczkę jeszcze w pierwszej połowie XIV w. — Z tego czasu żyje podanie wśród ludu, że na tem miejscu, gdzie znajduje się kaplica św. Krzyża, wyorano wspomniany wizerunek.

Pierwsza ta kapliczka, do której tłumnie lud pobożny uczęszczał, około r. 1340 zgorzała w południe od zapalonych świec, które pozostawili wierni po nabożeństwie, nie pogasiwszy ich przed opuszczeniem kapliczki.

Drewniana Figura wystawiona na pastwę płomieni ocalała. Dla niej lud pobożny i ofiarny postawił piękną stylową kaplicę z podcieniami — dla jej ozdoby i ochrony posadził miododajne lipy.

Do niej uczęszczał bardzo licznie i jak pisze kronikarz z prawdziwym nabożeństwem i kornem dziękczynieniem uczestniczył we Mszy św., odprawianej przez kapłanów u stóp Chrystusa Ukrzyżowanego, za pozwoleniem władzy duchownej i ohotnie składał ofiary z wosku.

W miarę jak wzrastała żarliwość w tem nabożeństwie, pomnażała się obfitość łask Bożych i jawnie ukazywała się na tem miejscu skuteczność modlitw zanoszonych przed wizerunkiem Zbawiciela cierpiącego przez nieszczęściami różnemi przyciśniętych, a szczególnie przez chorych. Świadczyły o tem liczne kule porozwieszane na lipach wkoło Kościółka pozostawione przez kaleki uzdrowione na tem miejscu.

I tak ubiegło ponad tą maleńką świątynią Pańską i ponad starożytnymi lipami przeszło pięć wieków.

Kiedy ochraniające swemi konarami przed burzami przybytek Boski drzewa tak wybutwiały, że zachodziła obawa, iż je może łatwo wiatr obalić na kaplicę św. Krzyża, dlatego powycinano je w r. 1820, pozostawiając pięć jednej z nich, urządziwszy z niego ambonę. W ten sposób ogołocona kaplica z drzew została wystawiona na działanie gwałtownych wiatrów i w krótkim czasie potrzeba było ją rozebrać i na jej miejsce wybudować nową, czego dokonali tutejsi wierni ze swoim ks. proboszczem Bronisławem Stasickim w r. 1868. W tym to roku 29 maja udali się w procesji do wspomnianej kaplicy ze swoim duszpasterzem, który tu po raz ostatni odprawivszy Mszę św. zdjął Krzyż z Chrystusem z Ołtarza i uroczystie w procesji przeniósł do kościoła parafjalnego.

Dzięki wielkiej ofiarności ze strony p. Teofila Ostaszewskiego, kolatora - właściciela Klimkówki, i miejscowej ludności, oraz dzięki pilności w pracy ówczesnych robotników (nie przestrzegających ośmiogodzinnego dnia pracy), w przeciągu jednego lata stanęła skromna, bardzo solidnie wybudowana z jodłowego drzewa kaplica, 12 kroków długa, 8 szeroka, pod kierownictwem umiejętnem znanego z uczciwości i dlatego wysoko poważanego tutejszego parafjanina — majstra ciesielskiego Florjana Waisa, ojca ks. dr. Kazimierza Waisa byłego rektora Uniwersytetu J. K. we Lwowie, prof. Filozofji chrześcijańskiej.

W dniu 3 maja 1869 r. w Święto znalezienia Krzyża św., w uroczystej procesji przeniesiono z kościoła parafjalnego do nowej świątyni Figurę Chrystusa Ukrzyżowanego, gdzie ją ówczesny dziekan rymański po poświęceniu kaplicy umieścił w ołtarzu ku publicznej adoracji. Uczynił to za pozwoleniem i w imieniu ks. bi-

skupa Antoniego Monasterskiego, ordynariusza przemyskiego, który kościółek ten nowy podniósł do rządu Kaplicy publicznej, o czym zawiadomił miejscowego ks. proboszcza pismem z dnia 14 kwietnia 1869 r.

Odtąd z każdym rokiem wzrasta liczba czcicieli Chrystusa Ukrzyżowanego — coraz to większy napływ pątników z coraz to dalszych stron przybywa tu już we wigilię uroczystości Znalezienia Krzyża św., aby wziąć udział w rzewnym nabożeństwie, które się tu odbywa we wspomniane święto i aby zabrać ze sobą ze źródła od Kościółka wody, cudownie uzdrawiającej.

Podnieść tu należy wielką ofiarność wiernych na upiększenie kościółka — dzięki czemu w ostatnich latach miejscowy ks. proboszcz Wincenty Grzyb pokrył koszta przemalowania ołtarza z koloru brązowego na marmurowy z białymi żyłkami, — sprawił piękny zielony ornat, oraz duży obraz umieszczony po prawej stronie na ścianie, tuż obok ołtarza — przedstawiający adorację krzyża św. przez rolnika, który według podania ludowego miał wyorać wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego. Wielkiego uroku dodały kaplicy piękne witrażowe okna z obrazami Matki Boskiej Częstochowskiej i św. Teresy od Dzieciątka Jezus, które ofiarował dla kościółka gorliwy czciciel P. J. Ukrzyżowanego p. Juliusz hr. Tarnowski z Chorzelowa, zmarły 11. V. 1932 r. w Rymanowie — pochowany na cmentarzu w Klimkówce. — Z datków wrzucanych do skarbonki został zakupiony pozłacany relikwiarzyk, w którym przechowują się relikwie 8 świętych złożone w darze przez p. inżyniera Jana Zaleskiego, byłego kierownika kopalni nafty „Ostoja“ w Klimkówce, umieszczone w tabernakulum.

Nazewnątrz dodaje powagi opisanej Kaplicy duża figura przedstawiająca Bożą Mękę — umieszczona na froncie kaplicy — sprawiona przez małżonków wychodźców do Ameryki Marjana i Marję Kasperkowiczów.

Wdzięk jej zaś podnosi śliczna górska okolica, bliskość lasów szpilkowych i liściastych, z których dolatuje wczesną wiosną śpiew ptaszków i łączy się z melodją pieśni kościelnych, śpiewanych przez wiernych przy akompanjamencie organów podczas Mszy św., i ze szmerem strumyka opływającego kościółek od wschodu, poza którym na wzgórku studzienka kryjąca owo źródło niewyczerpane, dostarczające wody na całą okolicę, o własnościach leczniczych — mające swoją sławę aż w Ameryce. Trafiają się wypadki niezwykłych uzdrowień przez pobożne użycie wody ze studzienki od kościoła św. Krzyża.

Każdego roku od szeregu lat zgłasza się do tutejszego Urzędu parafjalnego po kilka osób i podaje wypadki nadzwyczajnych uleceń z chorób, na które sztuka lekarska nie znalazła żadnego środka skutecznego.

Oto podane niektóre szczegóły z dziejów Wizerunku Chrystusa Ukrzyżowanego w Kościółku św. Krzyża w Klimkówce, świadczące o wielkiej pobożności i ofiarności naszych przodków, oby je wzięło sobie pod rozwagę obecne pokolenie i zachęciło się do wstępowania w ich ślady.

Ks. Wincenty Grzyb.

Bajka na czasie.

(Z francuskiego tłumaczył X**).

Wybrałem się na Zjazd Katolicki i po przybyciu na miejsce spotykam się z »Czarnym«.

Wyelegantowany, w ciemnogramatowym garniturze, w angielskim surducie, spodnie wyprasowane bez zarzutu, najnowszy fason obuwia i jakby się paliły — czerwone skarpetki.

— A ty co tu robisz, u licha?! — pytam go wprost, bo znamy się oddawna.

— Jakto co — ?! Na Zjazd Katolicki przybyłem. Urządzam tu coś takiego, że wszystkie klechy osłupieją z podziwu.

I zaśmiał się szyderczo.

— Możecie sobie robić Zjazdy Katolickie, ile chcecie i tyle mów na nich wygłaszać, ile wam się żywnie podoba. Ja się was nie boję. Z katolikami dziś mam łatwą robotę. Patrz — tu wyciągnął przed siebie kościstą łapę — ja tą oto ręką zawiązuję katolikom oczy. Zakładam im doskonałą przepaskę. Świetnie umiem to robić — wprawiłem się. Bo ty przecież dobrze wiesz, że gdyby ludzie mnie widzieli i poznali, to każdyby uciekał, jak djabeł od święconej wody. Ale z przepaską na oczach — nie widzą. I słuchają mnie we wszystkim, pokornie jak baranki. A ja mówić potrafię lepiej, niż wy klechy. Tak słodko jak miód. Przecież i matka wasza Ewa dała mi się wziąć na piękne, słodkie słówka.

Znów zaskrzeczał, śmiejąc się, ale mu przerwałem.

— Nie, tak łatwo ci nie pójdzie! Nie poddamy się bez walki, ty czarny duchu. I my mamy gotowe do boju szeregi swoich.

Zamiast odpowiedzi podniósł elegancką laseczkę spacerową i pokazał mi jakiegoś pana, przechodzącego mimo.

— Popatrz na niego. To »dobry katolik« — prawda? Za takiego go macie. Napewno wejdzie do prezydjum Zjazdu. Co niedziela chodzi przykładowo do kościoła, należy do diecezjalnej akcji katolickiej i gdy zajdzie potrzeba, wygłasza wspaniałe mowy. Ale ja ci mówię, że on ma moją przepaskę na oczach. I tego nie widzi, co — według siebie — powinien widzieć. On jest katolikiem, ale czyta mój dziennik. Czyta go codzień. I kupuje sobie raz po raz pikantne ilustracje. Kosztuje go to co miesiąc sporo grosza, jaki mógłby dać na sierocińce, na misje. Płacić woli na mnie. A jak przeczyta dziennik, przejrzy ilustracje, rzuca je do kosza, skąd zabiera je służba. I moja gazeta krąży po całej kamienicy, idzie z rąk do rąk, kończąc na dozorczy i ostatniej kucharce. A ta ostatnia oddaje ją węglarzowi i praczkom, żeby gazeta mogła dalej rozszerzać królestwo moje. Patrz, jaką mam doskonałą ambonę!... I co ty mi zrobisz?! Powiesz kazanie w niedzielę, — śmieję się z tego! Połowa słuchaczy na niem będzie spać, druga połowa bę-

dzie ziewać — wreszcie wszyscy powiedzą: »Panie Boże wielki zapłać!« A ja przez cały tydzień, codziennie po niezliczone razy mówię. I każdy mię słucha, tak jak ten pan, bo nosi moją przepaskę na oczach.

Idąc spacerem, na rogu ulicy natrafiliśmy na kiosk, budkę do sprzedaży papierosów i gazet. Ślepie Czarnego zaiskrzyły się, jak dwa węgle. Z radości zatarł pazury.

— Policz twoje »katolickie pisma!« — odezwał się szyderczo. No, rachuj! Napewno niedługo będziesz rachował.

Zacząłem liczyć... jeden, dwa, — trzy... — dalej nie było co rachować. Naprózno wytężyłem wzrok, wypatrując »Katolickich« dzienników i czasopism. Poprostu więcej nie było.

— A teraz policz moje pisma! — szydził Czarny i laseczką postukując biegł od dziennika do dziennika, od tygodników do miesięczników i pism ilustrowanych. Przy niektórych zatrzymywał się dłużej, jakby nie mógł od nich się oderwać. I mlaskał ozorem na widok tłustych kasków, jakie spostrzegął w tytułach i na ilustracjach.

— Ten »dziennik« pracuje dla mnie w artykułach naczelnych, a tamten w ogłoszeniach. Panowie z redakcji tak umieją zręcznie przemycić dla mnie to i owo, jakąś uwagę niewinną, pożeraną przez oczy i dusze młodych i starych czytelników. Pisma w tem okienku wysługują się mnie przez umiejętne opisy zbrodni, tamte najlepiej — bo przez ilustracje. Każde na swój sposób pracuje dla mnie.

Naliczył coś pięćdziesiąt pism, a ja pocichu narachowałem tyleż samo. Co który tytuł przeczytałem, myślałem sobie w duszy... — Tak. I ta gazeta służy interesom djabła I ta... i tamta...

Mijał nas jakiś pan poważny, mówca dzisiejszego zebrania. Djabeł uważnie nań spojrział i zaśmiał się bezceremonjalnie.

— I on ma moją przepaskę na oczach.

— I on? — Zdumiałem.

— Tak i on. Właśnie wraca po odczycie do domu. Możeś widział, jak szedł cały spocony. Dokonał pracy nielada, bo mówi świetne odczyty. Mówca urodzony. Orator natus. I mnie się na tem kazaniu dostały potężne ciągi. Słuchacze zawisli dosłownie na jego wargach, nie uronili ani jednego słowa. I on jest przekonany, że mówił cudownie, że dokonał wiele. Ale ja ci tylko tyle powiem, że on się pocił niepotrzebnie, bo mówił tylko do tych, co już i tak wierzą. Natomiast ja... co tu wiele gadać! Przed chwilą widziałeś moją ambonę w tym kiosku z gazetami. Ja cicho apostołuję, bez krzyku i szumu... Czy możesz mi policzyć moich słuchaczy, którzy dzień po dniu nasłuchują pod moją amboną? Tak się mówi kazania lepiej i skuteczniej. Toteż możecie sobie gadać spokojnie na ambonie, ile tylko się zmieści, do pobożnych dusz. Dopóki do mnie należą gazety i prasa, niczego się nie boję. Zwycięży ten, kto ma na swe usługi najpotężniejszą prasę.

Jeszcze raz wyciągnął swe kościste łapy w stronę kiosku.

Śmiał się i triumfował.

— Dobrze się przypatrz mej ambonie! Powiedziałem ci, że ten człowiek ma zawiązane oczy. Powiedziałem prawdę, bo on sobie wyobraża, że nie wiem, jaki skutek wywołuje swemi kazaniami, a tymczasem nie widzi, że między jego orędziem a moim, jest taka sama różnica, jak między dzisiejszym karabinem maszynowym a pukadłem z XIV wieku. On naprawdę nic nie widzi. Codziennie tędy chodzi i nie widzi, że ja więcej dusz zagarniam, niż on, że królestwo moje z dnia na dzień się rozprzestrzenia, ba, z godziny na godzinę. Mam dzienniki poranne i wieczorne. Liczba jego słuchaczy maleje z każdym rokiem, a tłumy co mnie słuchają, rosną z każdą chwilą. On ma na oczach przepaskę. To śmiechu warte, ale ja się z tego cieszę. Bo on dotąd uważa, że za dużo pism katolickich wychodzi, że niepotrzebne są pisma diecezjalne. Poco, naco?! Takich mi tu jaknajwięcej. To są moi wierni sprzymierzeńcy. Mówił niedawno przy okazji, że niepotrzebnie posyłają subwencje pieniężne na wydawnictwa różnych zakonów, dać raczej na Msze św. te pieniądze. To mi racja. Nosi przepaskę na oczach i cofa się ze swymi słuchaczami o kilka wieków wstecz. On spi, daj mu Boże sen spokojny, a ja tymczasem swoje robię. Nim on się obudzi, będzie już za późno brać się do prasy katolickiej. Wówczas wszystko już będzie moje. Gdyby on nie miał przepaski na oczach, toby go widok tego kiosku przeraził. I przekonałby się, że dzisiejszego djabła nikt nie wypędzi kazaniami. Ale dobrze, że dał sobie przewiązać oczy. Nic na tem nie tracę, że on ślepy. I nie boję się, że go przestrzeżesz przed tem. On jest święcie przekonany, że tylko on ma rację, że wszyscy są ślepi, a tylko on jeden dobrze widzi. W tem sztuka, tak kogoś napompować średniowieczyzną. I ja tę sztukę potrafię.

Mijała nas jakaś kobieta. Znow uśmiech szelmowski na wargach czarta.

— Widzisz tę staruchę? Co niedziela bywa w kościele na Mszy św., zapisała się do kilku bractw i stowarzyszeń, ale też kupuje moje gazety. I czyta je z nabożeństwem od deski do deski zaraz po różańcu. Za każdym razem jakaś dawka niedowiarstwa wsączy się do tej duszy, pocznie sobie zachwalać szcześnie to, co nie należy do kościoła, ludzi, naukę, zwyczaj. Muszę powoli budować gmach swój i na waszym poświęcanym cmentarzu.

Tu wyprostował się z dumą i kończył:

— Przypatrz mi się teraz! Nazywacie mnie aniołem ciemności, ale ja widzę jasno... bardzo jasno. Ja wiem, co myśleć o swojej prasie i o swoich redaktorach. Wyprawicie kazania w czterech ścianach kaplic waszych i kościołów, do garstki waszych wiernych, ale moje kazania rozlegają się od kiosku do kiosku, po wszystkich ulicach i domach. Szumią głosem echem po dworcach kolejowych i pociągach, na okrętach i samolotach. Na zebraniach towarzyskich, posiedzeniach, sesjach tylko o mnie mówią, moje poglądy szerzą wszystkie usta. Ja mam wymarzonych apostołów, którzy pracują dla mej chwały w sposób najbardziej nowoczesny, najbardziej porywający. Już echo moich kazań słyszą w szkół miljonach. Już mój głos rozbrzmiewa od miasta

do miasta, od wsi do wsi, od knajpy do knajpy, od chaty do chaty, od szafasu do szafasu. A najwięcej się z tego cieszę, że zaczyna się interesować mem kazaniem młodzież. Nie spocznę dopóki dla siebie nie zdobędę wszystkich, do ostatniej duszy. Ja wtedy będę, bo już jestem, Panem świata.

Wielkie szczęście dla mnie, że katolicy od góry do dołu, wszyscy prawie noszą przepaskę na oczach. Są ślepi...

Szkodliwe obliczanie czasu w Polsce.

Nikomu nie trzeba udowadniać, że dobre zdrowie to podstawa bytu i poszczególnego człowieka i całego narodu. Dobry zaś wzrok to znowu podstawa zdrowia. Przypatrzmy się pilnie naszej młodzieży, naszym młodym i średnim warstwom, porównajmy statystykę kilkudziesięciu lat, porównajmy wzrok ludzi z miasta i ze wsi. Dojdziemy do sztraznej prawdy: starsi lepsi mają wzrok od młodych, wieś od miasta, choroby oczu, osłabienie wzroku rośnie w zastraszający sposób.

Najważniejszą przyczyną powyższego to psucie wzroku przy sztucznym świetle. Miljony naszej młodzieży od najniższych do najwyższych klas i szkół, miliony pracowników umysłowych, conajmniej $\frac{2}{3}$ społeczeństwa, musi nadweręzać sobie wzrok przy sztucznym świetle: elektrycznym, gazowym, naftowym, świecach, karbidzie i t. p.

Skoro nie możemy usunąć głównej przyczyny pracy, bo młodzież uczyć się musi, umysłowi pracownicy swoje obowiązki wypełniać muszą, to przynajmniej ograniczmy drugą, a bardzo ważną przyczynę: sztuczne światło.

Zastanówmy się nad naszym dzisiejszym nastawieniem zegarów. W porze wiosennej, letniej, jesiennej słońce rano świeci całymi godzinami (w lecie już od 2-jej jest widno), a ludność miast, miasteczek śpi jak zabita (dziś nawet po folwarkach pracują według zegara). Po 5—6 godzin przesypiamy rano pięknego światła i po to tylko, aby tyleż godzin prześleścić wieczorem przy sztucznym świetle i psuć sobie wzrok. Nadomiar złego trzeba darmo wyrzucić miliony złotych na elektrykę, gaz, naftę, świece, karbid i t. p. (a narzekamy na nędzę, ciężkie czasy, wielkie wydatki!)

Tylko Polska, w porównaniu z naszymi sąsiadami z północy i południa, ma czas wadliwie nastawiany. Państwa, położone na tych samych południkach (tej samej długości geograficznej wsch.) co i Polska, mają czas posunięty zgodnie z ich czasem słonecznym, o całą godzinę naprzód, są to: Suomi, (zwane z niemiecka: Finlandją), Estonja, Łotwa, Romanja, (zwana z niemiecka: Rumunją) a dalej: Turcja, Egipt, Południowa Afryka Wschodnia, Południowa Afryka Zach. ma czas posunięty o godzinę naprzód — rzecz charakterystyczna dla Anglików tak wyrachowanych i oszczędnych!

Rząd polski (gabinet Ponikowskiego), chcąc się niepotrzebnie dostosować do czasu środkowo-europejskiego, wprowadził w 1922 r. (od $\frac{1}{5}$) dziśszy sposób, wbrew głosom całego szeregu ekonomistów, działaczy społecznych, astronomów.

Pamiętamy jak to, w czasie wojny, Austria i Niemcy zaprowadziły „czas letni“, chcąc mieć jak największe oszczędności. W ten sposób w porównaniu z nami, miały 2 godziny oszczędności! (dziś mają stosunkowo prawie godzinę więcej).

Tę samą oszczędność widzimy u bogatych narodów Europy zachodniej: Anglja, Francja, Holandja rok rocznie zaprowadzają u siebie czas letni (w pozostałych częściach roku mają normalny czas słoneczny). Nasz zaś sąsiad południowy, Romanja, ma różnicę o 2 godziny w czasie okresu letniego, bo z czasu słonecznego ma jedną godzinę i w okresie letnim posuwa o dalszą godzinę.

Dziwna rzecz, że my Polacy, naród b. ubogi, mający tyle nędzy i biedy tak lekceważymy oszczędności na świetle. Czy dbamy tak bardzo o kieszenie baronów węglowych, by nie zubożeli? Całe społeczeństwo a zwłaszcza władze szkolne, przemysł, handel powinny jak najrychlej wnieść prośbę do rządu o nastawienie zegarów według polskich wschodnich południków (uwaga: wschodnie województwa mają różnicę między swym czasem słonecznym a środkowo-europejskim prawie o godzinę) i są przeto obecnie więcej pokrzywdzone niż reszta Polski. Wnieśmy prośbę, by na cały rok był posunięty czas stale o godzinę, a w okresie od 1. III do 1. XI. było dalsze posunięcie o godzinę (czas letni).

Czyż w okresie zimowym praca szkolna i biurowa musi się koniecznie zaczynać o sakramentalnej 8 godzinie? Czyż nie można jej zaczynać o 9-jej? Ratujmy nasz wzrok, ratujmy nasz stan materjalny!

Dr. Maclurzyński Adam.

Ks. S. A. ICIEK.

Samochodem przez Stany Zjednoczone.

(Ciąg dalszy).

Podróż zaczynam w czerwcu, od sąsiedniego miasta New London, Conn., nad ujściem rzeki Tamizy (Thames) do oceanu Atlantyckiego.

Łatwo się domyślić, że założycielami miasta i pierwszymi osadnikami tej okolicy byli purytanie pochodzenia angielskiego. Dlatego nazwy miast i rzek przypominają podobnie brzmiące miejscowości w Anglji.

Przed stu laty, Nowy Londyn i z nim na północ sąsiadujący mój Norwich, służyły jako porty morskie. Stąd na wszystkie morza i oceany odpływały szybkie żaglowce zwane „clipper ships“, ogromnie handlem wzbogacając właścicieli i nadmorskie kolonje. Z nastaniem parowców, żaglowce zniknęły, a z nimi intratny handel. Zabrały go miasta inne, jak Nowy York, Boston i Baltimore.

W New London, na uwagę turysty zasługuje kilka historycznych zabytków. Najważniejszy to — Fort Groton, zbudowany w pierwszych latach walki o niepodległość. We wrześniu r. 1781 Gen. Benedykt Arnold, jeden z naszych wielkich bohaterów, a równocześnie zdrajców — rodem z „Norwich — naprowadził na miasto Anglików, którzy fort szturmem zdobyli, a załogę wynoszącą parę set ludzi, niemal w pień wycięli.

W Polsce, na upamiętnienie ważnych wypadków, wznoszą kopce, u nas budują pomniki w formie obelisków. Poległym w New London taki pomnik zbudowano.



Dolina rzeki Connecticut.

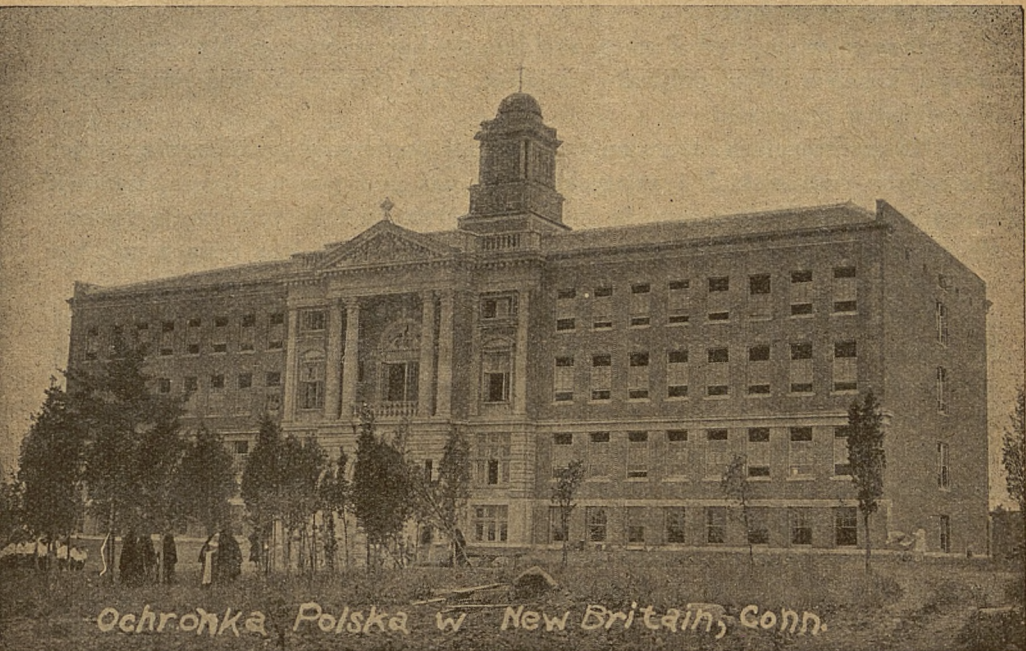
Zaraz obok znajduje się małe muzeum broni, mebli z czasów kolonialnych. Zaciekawiał mnie tam dosyć niezdatny witraż pamiątkowy, przedstawiający pijanego angielskiego żołnierza z butelką wina przy boku, któremu młody chłopak zabiera karabin. Pod witrażem umieszczono napis: „Attention World“.

Pytam się zarządczyni muzeum, starej „Jankuski“, co to ma wszystko znaczyć?!

Otóż, według jej objaśnień, bohaterem, upamiętnionym na kiepskim witrażu, był chłopiec z sąsiedztwa. Słyszac strzały, przycwałował na starej szkapie do New London. Było to już widocznie po zdobyciu fortu. Żołnierze angielscy po mozolnej, jednogodzinnej pracy nad zdobywaniem twierdzy, „rozweselali dusze“. Na takiego „rozweselonego“ grenadjera, trafił ów „bohater“, przed którym „cały świat miał stać na baczność“. Cichaczem

skradł się do śpiącego, zabrał mu „jeweł” i zaraportował swe odkrycie wojskom kontynentalnym. Zabrano pijanego wojaka do ciupy. Szybko się atoli jego niewola i więzienie skończyły. Wytrzeźwiawszy, wylazł oknem z niewygodnej kwatery i poszedł do swoich. Chłopak jednak stał się wielkim bohaterem!

Dla mnie, naoczno go świadka bohaterskich walk i obrony Lwowa przez jego dzieci — prawdziwe orlęta — „bohaterskie” czyny Jankusa, pusty śmiech wzbudzają. Gdyby to był lwowski cwaniak, pomacałby spitego bolszewika bagnetem po żebrach lub wpakował mu kulę w łeb, przeszedłby



Ochronka Polska w New Britain, Conn.

nad całą aferą do porządku dziennego. Ten zaś uważał się za wielkiego bohatera i wszystkim o swym „nieśmiertelnym” czynie przez całe życie opowiadał.

W New London pieczołowitą troską otaczają starą szkołę, w której uczył Nathan Hale, stracony przez Anglików za szpiegostwo. Idąc na śmierć, powiedział te pamiętne słowa: „Żałuję mocno, iż mam tylko jedno życie do oddania za Ojczyznę”.

Na rzece Tamizie odbywają się rok rocznie wyścigi na łodziach między studentami uniwersytetu Yale z New Haven, a słuchaczami uniwersytetu Harvard z Bostonu. Cała elita amerykańska zjeżdża na te zapasy. Port jest dosłownie zawałony motorówkami i wspianiami jachtami milionerów amerykańskich. Po skończonych wyścigach rzeka i jej brzegi są pokryte próżnemi butelkami od wódki.

Nadmienić wypada, że New London jest portem wojennym. Tu są stacjonowane submaryny¹⁾ i szybkie kontrtorpedowce, pilnujące regularnego dostawu wódki i wszelkich towarów butelkowanych do gaszenia — pragnienia nasyżych obywateli.

Nie będzie od rzeczy wspomnieć, że coraz więcej marynarzy i żołnierzy amerykańskich dostaje się w sidła naszych nadobnych Polek z Norwich i New London. Nie dziwiłbym się wcale, gdyby Polska tym sposobem weszła w posiadanie przynajmniej kilku nurów amerykańskich. Przydałyby się na Szwabów. Jakby to ładnie brzmiało: „Dar polskich dziewcząt dla Ojczyzny“. Umiłowany przez nie dostarczyłby łatwym sposobem okrętów, obsługi i... potomstwa.

Poza miastem, nad Tamizą, znajduje się baza submaryn. Na przeciwnym brzegu, kosztem kilku milionów dolarów, rząd zbudował olbrzymią szkołę dla oficerów marynarki.

Na konferencjach rozbrojeniowych silnie popieramy ograniczenie zbrojeń dla państw europejskich i azjatyckich. My zaś pod tym względem stanowić mamy wyjątek. Bieda z tem, że inne mocarstwa na taką propozycję zgodzić się nie chcą. Tamci mają wrogów o miedzę, my zaś o trzy tysiące mil, hen za oceanem.

Drogi z New London do Norwich prowadzą po obu stronach rzeki. Na brzegu wschodnim, parę mil od miasta, napotykamy niemal małe miasteczko budynków murowanych. To szpital rządowy dla umysłowo chorych. Stale przebywa tu przeszło dwa tysiące pacjentów i z każdym rokiem liczba ich wzrasta. Jeżeli zważymy, że Connecticut jest małym stanem, a posiada dwa olbrzymie zakłady dla obłąkanych, któż może zaprzeczyć, że prohibicja i kultura nie postępuje naprzód?!...

Na przeciwległym brzegu rzeki, na małym wzgórzu, zbudowano o licznych pawilonach szpital suchotniczy.

Norwich jest nie tylko siedzibą autora niniejszych opisów, ale w nim również, od stu lat, spoczywa na małym indyjskim cmentarzyku — Uncas, bohater powieści Coopera — „Ostatni Mohikanin“. O zmarłych zawsze trzeba dobrze mówić. Uncas, jako wódz czyli „Sachen“ Mohikanów, dał się porządnie we znaki sąsiadom plemienia Narragansett. W bitwie z czerwonoskórymi rywalami, tuż w granicach miasta, używając podstępu, strasznie ich zmasakrował, a wodza Montonomach, własnoręcznie uśmiercił.

Miasto nasze zowią „Różą Nowej Angliji“ a należy do najstarszych osiedli w Connecticut. Norwich dawniej zamieszkiwały arystokratyczne ro-

¹⁾ Tak autor nazywa łodzie podwodne.

Gdy my biednemu dajemy wsparcie, Bóg daje sercu naszemu radość ze spełnienia dobrego uczynku i obiecuje nagrodę.

*

Człowiek dobry i miłosierny lubi udzielać drugim ze swego, w czem podobny jest Bogu, który hojną ręką sieje dobrodziejstwa dla wszystkich stworzeń; zły zaś tak jak szatan lubi tylko drugim zabierać i dla siebie gromadzić.

Sw. Grzegorz.

dziny angielskie, teraz są tu Polacy, Włosi, niby po naszymu „Tajjany“, Kanadyjczycy i nie brakuje także naszych „arcyprzyjaciół“ Irlandczyków, czyli „Ajryszów“. (Spolszczenie angielskiego wyrazu).

Posiadamy kilka fabryk sukiennych, butelkowni i innych miejsc pracy. Nie wiem jednak, czy ze starości czy też od urodzenia. Norwich nigdy nie posiadało wielkiego przemysłu i handlu. Polska kolonja liczy około ośmset rodzin, pochodzących przeważnie z okolic Grodna i Wilna.

Zanim ruszymy w dalszą drogę, chciałbym tu dać mały wykład z matematyki. Przyznam się, że matematyka i greka zawsze ogromny wstręt we mnie wzbudzały. Algebra szła jak z kamienia, a trygonometria była prosto „terra ignota“. Z greki, Bogu dzięki, zapomniałem wszystko, nawet alfabet. Z rachunków umiem jeszcze liczyć do stu i tabliczkę mnożenia do siódemek włącznie. Mimo tych wielkich mankamentów, muszę na tem miejscu poświęcić kilka uwag rachunkowości, a to z następujących powodów:

W Europie używają miary metrycznej, my zaś używamy miary... zależy co kto mierzy, ot na ten przykład samogonkę czyli „munsiajn“ — galonami, a odległość — milami. Galon zawiera trzy i pół litra. Morga wynosi mniej więcej jeden i ćwierć — akra. Ponieważ jedziemy z czytelnikiem po Ameryce, więc odległość mierzymy milami.

Gdybyście zaś chcieli tutejsze mile podać w kilometrach, trzeba przeprowadzić następującą kalkulację: pomnożyć ilość podanych mil przez ośm, a potem podzielić przez pięć, gdyż kilometr jest pięć ósmych mili. Dla lepszego wyświetlenia podaję przykład.

Z Norwich do Hartford, stołecznego miasta stanu Connecticut, jest czterdzieści mil. Pomnożywszy mile przez ośm, mamy trzysta dwadzieścia. Gdy podzielimy tę sumę przez pięć, wypadnie nam sześćdziesiąt cztery, czyli według miary europejskiej, z Norwich do Hartford mamy 64 kilometry. Na tem się kończą moje matematyczne wiadomości i lekcja rachunków.

Teraz jeszcze o naszych nazwach chciałbym kilka słów nadmienić. Wszystkim wiadomo, że Amerykanie mają bardzo trudną wymowę. Obcemi językami władają, niby zdechłe cielę ogonem. Polskich nazwisk wymawiać nie potrafią. Gdy Moskale zdobyli Przemysł, Amerykanie dęba stawali, nie mogąc tego porządnego, „galicyjskiego“ miasteczka — w którym mnie, swego czasu strasznie pluskwy zmaltretowały — nijak wymówić. Niektórzy sobie na tem zęby połamali. Gdy zaś w dodatku na widownię publiczną wyszedł Przasnysz, to już dostawali obłędu i kołowacizny. Kilku dla samej okropności tych pięknych polskich nazw, popełniło samobójstwo. Więc też oddając pięknom za na dobre, poczęstujemy was naszymi nazwami.

Stan Connecticut wymawia się, — kon-nek-ty-kot, oznacza w narzeczu indjańskim długą rzekę. Jest to stan mały, ale, że tak powiem — jary.

Napróżno szukalibyście na jego całym obszarze, wynoszącym zaledwie pięć tysięcy mil kwadratowych, łąnów pszenicy i żyta. Lodowce poprzery-

nały go licznymi dolinami, a pola zasiały kamieniem i skałą. Rolnictwo ogranicza się do niewielkich farm, hodowli bydła i drobiu.

Jedynie dolina rzeki Connecticut, od której stan swą nazwę wywodzi, znajduje się w wysokim stopniu uprawy. Znajdziesz tam obszerne pola tytoniu. Dla wychowania delikatnych i szerokich liści t. zw. „sumatra“, całe pola są pokryte płótnem, rozpiętem na wysokich słupach. Jest to kosztowny sposób hodowli tytoniu, ale za to na rynku przynosi wyższe ceny. W Suffield jest polska osada, produkująca pierwszorzędny tytoń.

Liczne rzeki, przeryniające cały stan, służą za obfite źródło siły wodnej. W New London, przeszło dwieście lat temu, gubernator Winthrop zbudował młyn wodny do mielenia kukurydzy i zboża. Bogactwo siły wodnej i porty morskie dały wielki impet do rozwoju przemysłu i handlu. Connecticut zaliczamy do najgęściej zaludnionych i najbardziej uprzemysłowionych stanów Ameryki. Posiadamy tu bardzo liczne fabryki płótna i sukna, fabryki maszyn i sprzętów żelaznych, broni i amunicji, zamków, zegarów, zegarków, maszyn do pisania i t. d. Byłaby to zbyt długa litanja, aby wyszczególnić całość przemysłu tego małego stanu.

Hartford, przy rzece Connecticut, jedno z najstarszych miast w Nowej Anglii, jest stolicą. Liczy blisko dwieście tysięcy mieszkańców i znane jest w całym kraju jako „Miasto Ubezpieczeń“ — Insurance City. Kilkadziesiąt olbrzymich stowarzyszeń asekuracyjnych ma tu swoje siedziby. Kapitał ulokowany w tych organizacjach wynosi setki milionów dolarów.

W pobliżu miasta znajduje się olbrzymia fabryka motorów aeroplanowych Pratt Whitney. Tu również ma swą kwaterę słynna na cały świat fabryka broni — Colt Firearms. Jej najlepiej znanym produktem są rewolwery policyjne i automatyczne wojskowe. Zdaje się, że nawet Polska swego czasu dała im bardzo poważne zamówienie dla swej armji. Obecnie interes ten idzie bardzo kulawo. Zamiast rewolwerów i karabinów maszynowych, wyrabiają w tych zakładach najrozmaitsze sprzęty domowe.

Na Farmington avenue, niegdyś rezydencjalnej ulicy miasta, zachowują murowany dom Marka Twaina, a właściwie Samuela Clemensa. Opowiadają, że gdy budował dom, przyjaciele jego dziwowali się, czemu kuchnię, a nie salon stawia od frontu. On im na to: „Nie chcę, aby kucharka wciąż mi przez bawialnię biegała do okna patrzeć na ulicę, kto tam jedzie lub idzie. To jej zaoszczędzi dużo czasu, a mnie ambarasu“.

Zdaje się, że robiono mu wymówki, że w swych zresztą dobrze znanych dziełach, zapomina o interpunkcji: nie stawia przecinków, kropek i innych znaków pisarskich. Wziął się na sposób. Przy końcu książki umieścił kilka stron z samymi przecinkami, kropkami, domyślnikami, wykrzyknikami, słowem umieścił wszystkie znaki pisarskie, w dodatku było tam trochę liter i notatka, że jeżeli komu zabraknie przecinka, kropki lub wykrzyknika, może go znaleźć przy końcu książki. Niech czerpie z nich tyle, ile mu potrzeba — „just help yourself“.

Może i ja powinienem tak się urządzić w mych opisach?

Nie będę się wiele rozwodził o Hartford. Nadmienię, że jest to miasto piękne, czyste i postępowe. Kapitol w uroczym parku, zbudowany jest w stylu mauro-hiszpańskim.

Ordynariuszem diecezji hartfordzkiej jest J. E. Ks. Biskup Józef Nilan. Na przedmieściu zbudował niedawno wspaniałe małe seminarjum kosztem przeszło dwu milionów dolarów.

Zamieszkuje tu także dosyć liczna osada polska, skupiająca się przy polskiej parafji. Na wzmiankę zasługuje bardzo piękny, powiedziałbym — luksusowy polski dom narodowy.

Po drodze wstąpimy do New Britain, słynnego na całą Amerykę z przemysłu żelaznego. Nosi przydomek „Hardware City“ — miasto żelaza — gdyż tu powstają olbrzymie fabryki zamków, zawias, narzędzi stolarskich, żelastwa używanego przy budowie domów, jak również wszelkiego gatunku sprzętów domowych. Jest to jedno z wielu miast fabrycznych, pełne kominów dymiących, kolosalnych fabryk z kamienia i cegły.

Zagłędniemy do New Britain tylko dlatego, że zamieszkuje w niem najliczniejsza kolonja polska w Nowej Anglii. Nasi ziomkowie z ziemi Wileńskiej i Grodzieńskiej, a nawet nasi kurpie tu się zagospodarowali. Lud bardzo dobry i dla spraw narodowych życzliwy. Założycielem i wodzem tej osady, liczącej jakie dwadzieścia tysięcy dusz polskich, jest ks. Łucjan Bójnowski. Człowiek energiczny, pracowity, twardy, wiele tu zdziałał. Wspaniałały kościół, dwie szkoły, ochronka, dom starców, drukarnia, klasztor i rozmaite organizacje świadczą o jego niezamordowanej pracy. Nie dawno powstała tu druga parafja i także prosperuje.

W parku miejskim warto zobaczyć imponujący pomnik na cześć żołnierzy poległych w wojnie światowej. Na wysokiej, granitowej kolumnie wyciosany olbrzymi orzeł, a parapet otaczający kolumnę, jest wyłożony bronzowymi tablicami, na których widnieją nazwiska poległych żołnierzy z New Britain. Znalazłem wśród nich bardzo liczny zastęp Polaków, poległych w armji Stanów Zjednoczonych, a kilku w armji gen. Hallera.

Piętnaście mil za New Britain, drugie stare miasto — Meriden, zwane „Silver City“. Olbrzymie fabryki wyrobów srebrnych pod marką ochronną „Rogers 47“, to produkt International Silver Co. W Meriden jest także stara i liczna kolonja polska. Piękny kościół i szkoła, to owoc wieloletniej pracy na polu religijno-narodowem. Od przeszło dwudziestu pięciu lat proboszczem i budowniczym tej parafji jest ks. Jan Ceppa, rodem ze Śląska,

Jakie dwadzieścia mil od Meriden znów przedzieramy się przez duże miasto, Weterbur, zwane „Brass City“ — miasto miedzi. Tu są największe fabryki wyrobów miedzianych i bronzowych na świecie. Większość obywateli jest wyznania Rzymsko-katolickiego, ludnościowo przeważają Irlandczycy.

W centrum miasta, przy małym skwerze, zbudowali bogaty kościół, powiedziałbym, bazylikę. „Gorliwy“ proboszcz zapewne chciał się upamiętnić,

ale po ukończeniu wspaniałej świątyni, umarł. Teraz następca kłopoce się o to, skądby wziąć pieniądze na pokrycie procentów. Dług wynosi okrągły milion dolarów. Parafjanie modląc się w kościele za każdą „Zdrowašką“ sięgają do kieszeni po „nikla lub kwodra“ — pięć lub dwadzieścia pięć centów — na kościół. Nawiasem mówiąc, widziałem daleko więcej prawdziwej gorliwości i pobożności, gdym przed laty odprawiał mszę św. w lasach, pod drzewem, aniżeli w tych wspaniałych bazylikach i katedrach. Naogół, zbyt wiele poświęcamy pieniędzy i trudów na kosztowne gmachy, a za mało dbamy o stronę moralną i duchową ludu.

(C. d. n.)

Ze wspomnień Bajonczyka.

(Autor, uczestnik walk oddziału Bajonczyków jest byłym uczniem X. Bronisława Markiewicza — wychowankiem naszego Zakładu).

Było to w Vitry sur Seine (przedmieście Paryża) w r. 1914. Wówczas pracowałem we firmie Cayeux et Le Clere. Gdy rano wstałem udałem się o godz. 6 rano, by w restauracji wypić kawę i przeczytać ranne dzienniki, które wychodzą już o godz. 5-tej.

Ku memu b. wielkiemu zdziwieniu widzę w gazecie kolorową rycinę austriackiego Ferdynanda spadającego z auta. Choć nie po chrześcijańsku, lecz do nieopisania ucieszony, gonię do domu, by zabrać mapę Europy i parę broszur i spieszę co tchu do mego szefa kapitana Cayeux. Rozłożyłem mapę i z nadzwyczajną radością opisuję p. kap. Cayeux miejsce rozpoczęcia wojny światowej, dodając że dla Polaków nadeszła oddawna oczekiwana chwila... Pan Cayeux do głębi oburzony mem zachowaniem wzruszył ramionami i mówi: „Nie rozumiem zupełnie waszego tak mało taktownego postępowania, gdyż znałem was zupełnie innymi!“ Był to gorący patriota francuski i wielki przyjaciel Polaków. Znał mię ze strony katolickiej, więc dziwiła go ta niezrozumiała radość, że śmierć Ferdynanda a z drugiej strony nasze plany względem Rosji, sojuszniczki francuskiej, wydawały mu się czemś matematycznie niepojętem i konspiracyjnym równocześnie przeciw Francji. Była to chwila wielkiego złudzenia. Nie zakończyliśmy jednak naszej szczerzej rozmowy i w dalszym ciągu określam sam na mapie Europy granice Polski z roku 1772 i zaznaczam, że tylko ogólna europejska wojna może Polakom dać sposobność wywalczenia zupełnej niepodległości. Wkońcu zaznaczam, że Polacy będą walczyć równocześnie przeciwko wszystkim 3-m zaborcom. Pan Cayeux głęboko we mnie wpatrzony oznajmia: „Mój przyjacielu, coś dzisiaj z wami nie w porządku, jest to niedorzeczna utopja.“ Smutni i niezadowoleni z siebie rozeszliśmy się bez pożegnania.

Udałem się do Paryża, by w kolonji polskiej zasięgnąć nieco wiadomości i powziąć odpowiednią decyzję w decydującej chwili.

Ośrodkiem Polaków był w pierwszym rządzie dom znacznych patriotów polskich Zamoyskich na Quai d'Orléans 2, następnie Redakcja „Polonji“ pod kierownictwem W. Gąsiorowskiego oraz wiele małych środowisk w dzielnicy łacińskiej.

Jak dzisiaj, tak też i w owym czasie nie brakło najprzeróżniejszych poglądów na sposoby przyścia Polsce z pomocą. Każdy pogląd był jednak godny pochwały, gdyż zmierzał do wywalczenia Polsce niepodległości.

Jedna grupa chciała się przedostać przez Szwajcarię do Austrii i w legjonach bić Moskali a następnie Prusaków. Druga grupa rozumowała, że największym wrogiem Polski jest Prusak i że należy wszelkimi środkami dążyć do pobicia Prusaków a z Moskałem nieco głępszym załatwimy się później; tak czas upływał na naradach i przygotowaniach.

A wojna światowa planowo przez Niemcy przygotowana postępowała naprzód; coraz to lepiej każdy z nas rozumiał, że Niemiec nie tylko dla Polski lecz dla wszystkich narodów jest najgroźniejszym nieprzyjacielem. Każdy rozumiał, że pierwszym zadaniem jest pokonać Niemców a następnie załatwić się z innymi nieprzyjaciółmi.

Po rozpoczęciu wojny Rosji z Austrią i Niemcami rozpoczęła się też 3 sierpnia wojna między Niemcami i Francją. Nie było już czasu do stracenia i po zebraniu się w redakcji „Polonji“ postanowiliśmy stworzyć oddział polski i prosić Ministerstwo wojny o przyjęcie nas do armji. W tym celu wydelegowano do Ministerstwa p. W. Gąsiorowskiego, gorącego patriotę polskiego, by uzyskał zezwolenie.

Zamiast jeździć do Vitry zamieszkałem u kochanego przyjaciela śp. Dr. Wł. Szujskiego, inżyniera z zawodu.

Tego samego dnia przy kolacji rozpoczęliśmy we dwójkę marzyć o wielkiej armji polskiej. Nic jednak nie było, więc rozpocząć się musiało od małych rzeczy. Propaganda wśród chętnych. Więc dalej, — siadamy i nieomal całą noc piszemy na blokach czerwonymi ołówkami plakaty nawołujące Polaków do wstępowania w nasze szeregi. Zapisywali się ochotnicy w redakcji „Polonji“ a pierwsze ćwiczenia wojskowe prywatnie wykonywali w gimnastycznej sali belgijczyka p. Georges, na rue Tournou naprzeciw koszar gwardji republikańskiej. Cały dzień roznosiłem po ważniejszych restauracjach plakaty, gdzie Polacy przebywali.

W pierwszym dniu przybyło około 100 ochotników, — to niemałe żniwo. Wieczorem dnia następnego marzymy przy wspólnej kolacji znów o naszej przyszłej armji. A ponieważ w pierwszej chwili widzieliśmy taką chęć do utworzenia polskiego oddziału, więc też tego samego wieczora we dwójkę postanowiliśmy postarać się o polski sztandar. Ponieważ Szujski był człowiek bardzo wymowny, przeto prosiłem, by zechciał rano pójść dnia następnego do pp. Hr. Zamoyskich na Quai d'Orléans i prosić, by pp. Zamoyscy jako najstarsi godnością w Polonji paryskiej zechcieli zaofiarować nam sztandar polski. Z niewiadomych mi przyczyn Szujski odmówił mi tego i obstawał,

że ja mam sam to załatwić, — musiałem się zgodzić, napisaliśmy jeszcze parę plakatów i dnia następnego o godzinie 5 rano z północnej części Paryża idąc do Hr. Zamoyskich rozdawałem plakaty po restauracjach. O godzinie 7 rano przyszedłem do pp. Zamoyskich i przedstawiam to wszystko p. Marji Zamoyskiej. Ponieważ już przedtem miałem zaszczyt być znany p. Zamoyskiej, więc też wysłuchała z uwagą mej prośby, lecz kazała mi przyjść drugi raz za godzinę. Pochodziłem trochę koło Notre-Dame i powtórnie przybyłem o godzinie 8-mej; ku memu największemu złudzeniu p. Hr. Marja Zamoyska odpowiada: „Przedsięwzięcia panów bardzo cenimy i życzymy wam jak najlepszego powodzenia, lecz my sztandaru wam dać nie możemy, gdyż nasze placówki w Austrii i Niemczech ucierpiałyby bardzo, gdyby się tam o naszym udziale dowiedziano, że my pomagamy do tworzenia wojska polskiego“. Po wysłuchaniu tych słów aż mi się zimno i gorąco zrobiło, nie wiedziałem co mam mówić. Po krótkiej chwili w sposób bardzo nietaktowny (jeszcze dziś tego żałuję) odzywam się temi słowy. „Gdy chodziło w Polsce kiedykolwiek o sprawy narodowe, to Wyście zawsze swe prywaty na pierwszym miejscu stawiali.“ Tak niesprawiedliwie osądzoną i obrażoną p. Hr. Marję Zamoyską pożegnałem idąc do grupy ćwiczących kolegów na rue Tournou. Po przybyciu oznajmiłem Szujskiemu me niepowodzenie i zaproponowałem, by sztandar zakupiono ze wspólnych składek wszystkich ochotników, na co Szujski się zgodził. Przeto po zebraniu dobrowolnych składek wzięliśmy auto w 3 osoby, tj. p. Georges, kolega Obst i ja i pojechaliśmy do specjalnego składu sztandarów. Po pozostawieniu wzoru wróciliśmy na salę gimnastyczną. Sztandar miał być za 3 dni gotowy i kosztował około 250 fr.

Dnia następnego już gwardja republikańska, która naszą wiarę poznała, przyjęła wszystkich na dziedziniec koszarowy i cały dzień wszystkich grupami ćwiczyła, wszystko szło bardzo dobrze. Ponieważ mieliśmy sztandar, należało go po katolicku poświęcić i oddać oddziałowi. Przeto też zatelefonowałem do polskiego księdza prałata Podstawki z kościoła polskiego, który dnia następnego przybył o godzinie 4 popoł. Cały drugi dziedziniec koszar był zajęty naszymi ćwiczącymi oddziałami. Szujski wszystkiego pilnował wraz z komendantem gwardji.

Gdy jednak nasi postępowcy zobaczyli mię ze sztandarem i katolickiego księdza, zrozumieli o co chodzi i natychmiast powstało zamieszanie w szeregach... Szujski dobrze się orjentujący przyskoczył do mnie dając znak, bym się z księdzem z dziedzińca usunął, co też zaraz nastąpiło. Żal nam się zrobiło, że już wówczas rozpoczęła się walka o katolicką Polskę, lecz trudno. Przewielebny ks. prałat Podstawka w 4 oczy w pierwszym dziedzińcu koszar poświęcił w Paryżu pierwszy polski sztandar z orłem polskim w r. 1914. Poświęcony sztandar oddałem komendantowi koszar, który po krótkim przemówieniu wręczył go Dr. Wł. Szujskiemu.

Tego samego dnia pojechałem jeszcze raz do Vitry, by ostatecznie

załatwić me sprawy prywatne. Tutaj należy nadmienić, że wszędzie Polacy chętnie szli do naszych szeregów. Miałem tu kolegę Romana Samborskiego, któremu bez tłumaczenia wprost kazałem w paru godzinach wszystko zlikwidować i na drugi dzień stawić się do szeregów, co też niezwłocznie uczynił; a był to bardzo inteligentny chłopak.

Po dwóch dniach nasz polski oddział wyruszył ze sztandarem w regularnych szeregach do pałacu Inwalidów, gdzie się odbyło oficjalne przyjęcie zdolnych do noszenia broni i podpisanie kontraktów.

Dnia następnego o godz. 1 w południe odjechaliśmy wszyscy specjalnym pociągami z Paryża do Bayonne, depart. Basses-Pyrénées (Bayonne jest to twierdza, miasto diecezjalne tuż nad granicą Hiszpanji położone, obok niego jest osławione miasteczko Biarritz, znacznie mniejsze).

Ludność Bayonne już była widocznie uwiadomiona, że tego dnia przybędą tam ochotnicy różnych narodowości, gdyż ulice wieczorem były zajęte tłumami wznoszącymi okrzyki na cześć ochotników. Przy nadejściu oddziału polskiego ze sztandarem rozległ się okrzyk vive les Anglais! chociaż tam wogóle nie było ani jednego ochotnika Anglika. Na drugi dzień prasa Bayonny dostatecznie popełniony błąd naprawiła.

Dodać należy, że dnia następnego drugi nieco mniejszy oddział wyjechał z Paryża do Rucil.

Z oddziału naszego utworzono jednolitą kompanję, około 300 ludzi, przyłączoną do bataljonu C. II-go pułku marszowego Legji Cudzoziemskiej. Ćwiczenia nasze odbywały się z wielką szybkością.

A ponieważ sztandar nasz w Paryżu był naprędce wykonany, przeto przedłożyliśmy go paniom w Bayonne do poprawy. Szlachetne panie owego sztandaru nie poprawiły, lecz wyhaftowały nam inny, według projektu ochotników. Sztandar ten został po Mszy św. przez Biskupa Bayonny poświęcony przy okolicznościowym kazaniu i oddany Szujskiemu.

Na sztandarze poświęconym w Paryżu znajdowała się korona, reszta to samo.

Ponieważ w tym czasie Niemcy szybkim tempem posuwali się naprzód, przeto i w naszych szeregach powstało rozgorączkowanie i zapał, by jak najprędzej pójść na front. Postanowiliśmy przeto wnieść prośbę do dowódcy Bayonne, by nas niezwłocznie na front wysłano. W czasie redagowania prośby zaszła taka mała lecz znamienita i humorystyczna rzecz. Jeden b. poczciwy żydek Joel mówi do nas: „Wy głupcy! po co wy się tam rwiecie? Jak długo Niemcy Francuzów biją, to nas nie biją..“

Parę dni później komendant naszego bataljonu major Noiret w czasie ćwiczeń wyraził publicznie swe oburzenie, że jesteśmy za gorączkowi i że rząd francuski nie nato nas przyjął, by nas wysłać nieprzygotowanych na front. Jednak ćwiczenia podwojono i z początkiem października wysłano nas do Szampanji. Przed wyruszeniem odbył się w naszym oddziale wybór chorążego i 4 asystentów.

W Szampanji po przybyciu na 2-gi dzień poszliśmy ze ś. p. Szujskim rano o godz. 5-tej do wiejskiego kościółka; po spowiedzi przyjęliśmy Komunię św., by się dobrze na inny świat przygotować. Przy wejściu z powrotem do kompanji nasi koledzy postępowi... wydrwili sobie z nas (pamiętam kolegę Gulę, który nas wyzwał od zacofańców. W czasie 8-dniowego pobytu sztandar nasz był wywieszony publicznie i strzeżony.

Po 8-miu dniach zajęliśmy pierwsze linje Żuawów niedaleko Cite des Marquises. Pierwszego dnia Niemcy wyczuli zmianę i przywitani nas dobrym ogniem. Pozycje zajęliśmy około godziny 10 wieczorem; a na drugi dzień, około godz. 7 został tuż obok mnie zabity nasz dowódca kompanji Max Dumic. Kula przeszła mu gardło tak, że tylko usłyszałem ostatni wyraz aa... potoczyliśmy się razem, ułożyliśmy zwłoki w rowku, by je móc następnej nocy pogrzebać na cmentarzu wojskowym w Cilerie.

W Szampanji pozostaliśmy aż do 26 kwietnia 1915 r. W tym czasie odbywały się tam nieznaczne potyczki. Po pewnym czasie dowiedziano się jednak po stronie niemieckiej, że Polacy biorą udział w armji francuskiej i Polacy co pewien czas przechodzili w nocy pojedynczo lub grupami do Francuzów. Od nas na prawo była już inna armja i generał dowódca prosił naszego dowódcę o przysłanie mu grupy Polaków ze sztandarem celem uwiadomienia Polaków po stronie niemieckiej, że rzeczywiście Polacy występują przeciw Niemcom. Wysłano nas wówczas 25-ciu ze sztandarem. W dowództwie byliśmy przyjęci jak do rodziny; po paru dniach wyszliśmy na pierwsze linje, które w niektórych miejscach były oddzielone od linii niemieckich zaledwie o 150 m. Obchodziliśmy wszystkie pozycje, śpiewając pieśni narodowe, a zwłaszcza rotę Konopnickiej.

Niemcy zrozumieli o co chodzi i siekli nasze pozycje maszynówkami do okropności. Pewnego razu mówię do Szujskiego (ponieważ od początku należałem do straży sztandaru) nie narażajcie swego życia! A Szujski, do p... przecież nie będę na głowie chodził! Tak mijały dni naszego postannictwa. Sztandar poza pierwszą linią nosił Szujski w swym plecaku zaś proporzec nosiłem ja. Często miałem nieprzyjemności ze świecą blachą na końcu proporca. Pewnego razu nie miałem czem zawinąć i nawiadziałem czarną skarpetkę. Koledzy mi dokuczali do niewytrzymania. Lecz na froncie wszystko to się działo naturalnie... Propaganda nasza doprowadziła Niemców do ostatniej wściekłości. Toteż w kilku miejscach wykonywali ataki na nasze pozycje. Po paru dniach rozpoczął się duży atak, w którym Dr. Władysław Szujski ugodzony kulą w głowę padł na miejscu. Czaszkę miał kompletnie zdruzgotaną tak, że mu musiałem paskiem od czapki głowę związać. Atak się skończył spełnieniem naszej misji dnia 29 listopada 1914 roku. Zwłoki przynieśliśmy do dowództwa. Dnia następnego przybył z rozkazu dowódcy ksiądz i odbył się pogrzeb. Ostatnią przysługę, jaką kochanemu przyjacielowi i koledze mogłem wyświadczyć, to była moja codzienna derka, w którą zwłoki owinąłem i tak zostały do grobu wpuszczone. Było to dla mnie

w czasie prezentuj broń! Chwila okropnych boleści. Łzy mi ciekły po ściśniętym w tym momencie karabinie, gdy sobie przypomniałem jego słowa: „My do wolnej Polski przez całe Niemcy przejdziemy“. Po zasypaniu zwłok zakopałem we flaszcze zmarłego papiery, ułożyliśmy z kredy na grobie orzeł polski i tak w cichym lesie pozostał nasz bohater sam, posyłając innych do wolnej Polski. Dowódca pułku ogłosił śmierć Szujskiego w następnych słowach: „Patriote polonais a été tué glorieusement en plantant sur une tranchée allemande le drapeau de la Pologne renaissante“. Misja nasza ze sztandarem podziurawionym 32 kulami skończona; odjechaliśmy do naszej armji.

Następnego chorążego obraliśmy p. hr. Jana Sobańskiego, który miał do Polski sztandar oddać. Z końcem kwietnia 26-go 1915 r. przeniesiono nas z Szampanji do Artois, gdzie się odbyła w owym czasie największa bitwa. Zaraz po przybyciu naszego pułku zażądano z naszej kompanji (od 300 ludzi) 4 grenadjerów do rzucania bomb i rozbijania postów obserwacyjnych. Ćwiczyliśmy się całymi dniami. Dnia 4, 5, 6, 7 i 8 maja artylerja dalekonosna bombardowała tyły nieprzyjacielskie i przygotowywała wszystko do ataku, miał atakować 33 korpus gen. Petain'a.

Dnia 8 maja wieczorem zebrano nas do apelu i oznajmiono, że dowództwo wybrało naszą kompanję do prowadzenia całej bitwy. Zadaniem naszym było wyjść parę sekund naprzód przed całą armją. Wieczorem dobre zaprowjantowanie i krótki spoczynek. Gdy się ściemniło poszedłem sam za nasz barak, odmówiłem 1 Zdrowaś Marjo i poleciłem się Matce Najświętszej.

Dnia 9 maja około 1 godziny wyruszyliśmy na pierwsze linje ataku. Byłem co sił starczyło obładowany amunicją, dostałem 2 torby bomb 8 systemów, ładunki dostałem do karabinu również wzmocnione, celem niszczenia stalowych zastłon w postach obserwacyjnych.

Dzień był bardzo pogodny, a ponieważ na całym froncie jak tylko oko ludzkie mogło sięgnąć w prawo i lewo artylerja francuska z całym wyężeniem bombardowała pozycje niemieckie, więc mogliśmy wszystkie nieprzyjacielskie pozycje obserwować zupełnie swobodnie. Szczególnie od godziny 8-mej do 10-tej, gdy artylerja wykonywała tak zwany ogień dowolny, to się wytworzył widok językiem ludzkim do nieokreślenia piękny, czarujący i zarazem najokropniejszej zgrozy, aż się co pewien moment ziemia ruszyła. Jak tylko można okiem sięgnąć utworzony między niebem i ziemią mur dymu zasłaniał pozycje niemieckie. Nadeszła chwila obrachunku. Dziwne też we mnie panowało uczucie zadowolenia, choć w tym momencie każdy z nas był 100% przekonany, że więcej z tego piekła nie powróci... Obok mnie stojący ów kolega Joël, który w Boyonne dał nam praktyczną wskazówkę, był bardzo smutny i by go pocieszyć, mówię: „słuchaj Joël, ja wcale nie żałuję umrzeć i przed śmiercią tak wspaniały widok zobaczyć“. Joël stał nadal smutny i nic nie odpowiadał. Ziemia nadal się trzęsła pod ciśnieniem powietrza przy pękaniu granatów.

Po paru minutach przybył dowódca naszej kompanji i szef bataljonu major Noiret dając ostatnie wskazówki jak się zachować przy prowadzeniu ataku. Wszystko leży i czeka w rowach. Godzina 10-ta jakgdyby za naciśnięciem guzika elektrycznego wszystko po stronie francuskiej na pewien moment ucichło, zaś ze strony niemieckiej odezwali się niedobitkowie. Momentalnie na całej linii francuskiej rozległ się powtórny ogień dowolny przez 5 minut. Godzina 10:05 ze strony francuskiej bombardowanie pierwszych pozycyj niemieckich zupełnie ucichło. Momentalnie na całej linii odgłos trąbek zawezwał wszystkich do ataku. Wszystko co żyło z naciśniętymi na głowy czapkami parło naprzód. Niemcy prażyli nas okropnie ogniem artylerji 77 mm. Obustronne artylerje, aeroplany i ludzki krzyk wytwarzało to istną piekielną menażerję. Zdobyliśmy w mgnieniu oka I-sze okopy, w których się jeszcze parę tysięcy Niemców poddało. Myśmy równo szli naprzód a następne linje zajmowały się pojmaniem niewolników. Załatwiłmy się dobrze z II i III-cią linją okopów i weszliśmy na nieufortyfikowane pola. Na całej linii Niemcy w odwrocie jakieś 300 m. przed nami uciekają a my za nimi..

Obustronne artylerje robią okropne spustoszenie. Mój Joël na kawałki rozbity; tylko w lewo spojrziałem, aż tu młody Stańczyk z Królestwa na dwie części rozbity. Co tylko żyje wszystko ze zwierzęcą wściekłością goni nieprzyjaciela, w naszym punkcie zdobyliśmy około 6 klm. w głąb idąc nadal naprzód. Nagle i na mnie kolej nadeszła, na 1 m. odległości rozerwał się armatni granat, który mi w pozycji strzelającej doszczętnie karabin potrzaskał i prawą rękę zupełnie złamał w 3-ch miejscach, — ręka zwisała i momentalnie poczerniała. Krzyknąłem po francusku, że już jedna ręka mniej!.. Obejrzałem się i niestety nikt mego głosu nie słyszał.. byłem sam. Ciemno mi się zrobiło i po pewnym momencie przebudziłem się leżąc w kałuży krwi. Bitwa nieco ucichła. Spozrzegłem, że nasi są w tyle i że się znajduję w szczerem polu między Niemcami i Francuzami. Chwila namysłu. Jak mogłem tak wsunąłem rękę wiszącą pomiędzy guziki płaszcza i pomagając sobie lewą ręką począłem się czołgać w nasze linje. Po długich wysiłkach dostałem się do naszych linii, skąd mię na noszach odniesiono na tyły. Przypominam sobie gdy mię niesiono to przechodzono po trupach czarnych od pocisków jak murzyni. Spowodu dużego upływu krwi byłem dłuższy czas nieprzytomny. Po pewnym czasie obudziłem się na noszach w podwórze jednego gospodarstwa, gdzie rannych znosili. Miałem pod głową poduszkę i klęczała koło mnie jakaś niewiasta i płakała. Po raz pierwszy we wojnie ogarnął mię jakiś dziwny i dziecinny egoizm. Niedługo później przybyło auto i zanieśli mię do baraków w sąsiedniej wiosce, gdzie chirurdzy z całym wysiłkiem dokonywali operacyj. Leżało tam tysiące rannych umierających. Do chirurgów cisnęli się ranni w nieładzie tak jak się cisną ludzie do konfesjonau. Ponieważ w mej ranie oprócz żelaza były z ziemią szmaty z płaszcza, spodniej westki, koszuli i t. p., więc odczuwałem w ranie

okropny ogień. Leżałem pod szopą na noszach jak wielu innych. Już w wieczór około 8-mej nie mogę czekać aż mię zaniosą, wstaję i co mogę przebijam stojących przed drugą szopą i cisnę się do chirurga. Kładą mię na deskach, usypiają, rozcinają wszystkie na mnie rzeczy... (Dk. n.)

Z kroniki domowej.

Ostatnia kronika domowa nie notuje nam żadnych ważniejszych wydarzeń. Żniwa ukończyliśmy dość szczęśliwie — zbiory są nieco lepsze niż w ubiegłym roku a siano nawet znacznie lepsze. Do Zakładu codziennie przyjeżdżają gromadki gości z pobliskich źródeł Iwonicza i Rymanowa dla zwiedzenia głośnego już szeroko Zakładu. Niektórzy klerycy w sezonie letnim już nic innego prawie nie robią, tylko tych gości oprowadzają i pokazują wszystkie zakątki Zakładu.

Nie bardzo luksusowo wygląda nasz stary dom, a i w nowym niejedno należycie niewykończone, ale czegoż wymagać od takiego biednego Zakładu jak nasz, który razem z wychowankami wspólną biedę klepie i pod względem mieszkania i utrzymania żyje na poziomie biednej robotniczej rodziny, których tyle zapełnia poddasza lub suteryny dużych miast.

Ale każdy, kto zna przeznaczenie naszego Zakładu, jego historię i warunki, w jakich istnieje, uznaje to za całkiem naturalne, bo właściwie wychowanie powinno odbywać się w takim środowisku, w jakim wychowanek nadal będzie żył, i w jakim żyją jego rówieśnicy pod względem pozycji społecznej. A przytem ubóstwo i trochę braków to dobra szkoła dla młodego, zaoszczędzi mu dużo rozczarowań w życiu późniejszym.

Również rozsądek powiada, że dziś gdy tyle sierót chodzi bez dachu nad głową i nędza grasuje po ulicach miast i wsi, lepiej trzymać więcej dzieci choćby kosztem wielu wygod, niż mniej, a w większym dobrobycie.

W lipcu nawiedził naszą okolicę szalony huragan, jakiego najstarsi ludzie nie pamiętają i w całej okolicy narobił wiele szkód. Zrywał dachy z domów, łamał całe lasy, obalał wozy i konie.

Pastwą żywiołu padły dwie wspaniałe lipy w ogrodzie plebańskim wyrwane z korzeniami. Jedna z nich runęła na plebanję, a siłą ciężaru mogła cały budynek obalić, gdyby rozłożyste gałęzie nie osłabiły rozpędu potężnych pni. W ogrodzie wicher połamał dużo orzechów i parę jabłoni, zrobił szkodę dość znaczną. Na budynkach warsztatowych w kilku miejscach uszkodził dachy, ale prędko dało się to naprawić.

Opowiadają starzy ludzie, co również powtarzają moi mali przyjaciele, że lata ubiegłe, a w szczególności rok obecny, to są lata dziwnych zdarzeń i wróżą coś nadzwyczajnego. Co to może być, trudno zgadnąć, najgorszą dla moich małych przyjaciół byłaby wczesna mokra jesień, i kopanie kartofli w grząskiem zimnem błocie. Uwaga wydaje mi się całkiem trafną, choć może niedość ogólnie obejmuje możliwość przewidywanych klęsk, o ile te dziwne oczekiwane zdarzenia będą klęskami.

Wielką pomocą w pracy wychowawczej i gospodarczej byli nasi klerycy, którzy po nużących studjach w Krakowie i w Przemyśle spędzali wakacje w domu macierzystym w Miejsku Piastowem. Mistrzowie gry w siatkówkę, potężnie rozszerzyli ten piękny sport, szlachetniejszy od piłki nożnej. Nawet zapaleni zwolennicy futbolu i mistrzowie sławą okryci, naszej zwycięskiej Zakładowej „Pogoni“ z uznaniem powitali tę nowość. Grają teraz w siatkówkę z tą samą furją, jak przedtem w futbol. Jest po-

między naszymi klerykami jeden zasłużony w pracy wychowawczej zwany popularnie Ojciec Wincenty, który w szczególny sposób umie obmyślać zabawę i zachęcać do niej młodzież.

W zeszłym roku urządził nam kilka wyśmienicie zorganizowanych zabaw, w których brał udział cały Zakład razem z orkiestrą.

Był to i festyn i sport i zabawa i koncert i co kto chciał. Atrakcji było tak dużo, że nie wiadomo było czego się jąć. Największem powodzeniem cieszył się słup szczęścia obwieszony nagrodami, które obficie nagradzały trud wspinania się. Tak nęciły oko, że nawet jednostki ogólnie znane z braku sprytu i zgrabności, których nikt nigdy nie widział przy jakiejś ruchowej zabawie, tutaj nie wytrzymali i ruszyli w konkurs. Okazało się, że nawet szło im wcale nie źle — zapał i widok doraźnej nagrody tworzył cuda. Choć do szczytu nie doszli, bo mało było takich szczęśliwców nawet spośród zgrabnych i wysportowanych chłopców — ale zdumieni wszystkich tem, że na słup wysoki, gruby, wygładzany jak lustro z ogromnym wysiłkiem energii i sił doszli nawet poza połowę.

Drugą zabawą, która ogólnie się podobała dla swojej nowości, był pochód żydów do Jerozolimy. Brało się w tym celu kilkanaście stołków, ustawiało je wkółko w małych od siebie odstępach, naokoło tych stołków stawała gromadka chłopców — orkiestra zagrała im dziarskiego marsza i małe żydy ruszyły w pochód kółeczkiem po zewnętrznej stronie stołków.

W pewnym momencie orkiestra przestała grać. Stop. Odpoczynek, każdy prawowierny Izraelita musi obowiązkowo usiąść ale tutaj okazuje się, że dla jednego żyda stołka brakuje, bo stołków przygotowano mniej niż żydów. Ten nieszczęśliwiec, któremu brakło miejsca w pokoleniu Izraelowem, musi odejść od dalszego konkursu.

Orkiestra zaczyna grać. Żydy ruszają w dalszy marsz wokół. — Tymczasem siła wyższa, którą w tym wypadku był sam Ojciec Wincenty, sprzątnęła jeden stołek. I znowu stop. — Odpoczynek i znów dla jednego brakuje miejsca.

Tak się to ciągle powtarza i wciąż wylatuje jeden żyd, wślad za nim jeden stołek, aż zostaje jeden zwycięzca, który dochodzi do Jerozolimy i otrzymuje zasłużoną nagrodę.

Chcieliśmy tę zabawę powtórzyć w tym roku. Niestety tak się złożyło, że w niedzielę upatrzone padał desz, który spędził rozbawionych uczestników z placu i trzeba było zabawy dokończyć w refektarzu. — Również było wesoło, grała i orkiestra i zdobywano nagrody wartościowe za zręczność, ale to już nie było to samo. — Teraz po tych zabawach pozostało tylko wspomnienie i nadzieje na przyszły rok.

Pozatem w ciągu miesiący wakacyjnych rozegrali nasi sportowcy kilka zawodów drużynowych, ogólnie wygrywając 3 rozgrywki, a przegrywając jedną.

Od dnia 3 września rozpoczęliśmy naukę i w domu zapanował w całej pełni porządek i rygor szkolny.

X.

Za zezwoleniem Władzy Duchownej i Przełożonego zakonnego.

WYDAWCA: T-WO ŚW. MICHAŁA ARCH. W MIEJSCU PIASTOWEM.

REDAKTOR: X. JAN GÓRECKI W MIEJSCU PIASTOWEM.

Drukarnia Towarzystwa Św. Michała Archaniola w Miejscu Piastowem.